№ 29. Warszawa, dnia 20 (8) Lipca 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Zwracamy uwagę, że Redakcya PRAWDY mieści się obecnie przy ulicy Marszałkowskiej (róg Żórawiej) pod nr. 95.

POLITYKA.

TRYUMF BOULANGERA.

Setna rocznica rewolucyi, a przynajmniej tych jej aktów, które istotnie miały wielki wpływ na rozwój zasad i stosunków europejskich, przypadła dla Francyi nie w porę, bo właśnie wtedy, kiedy ona może wywoływać cienie olbrzymów przed oczy karłów i mierzynów. Dnia 14 lipca obchodzono pamiątkę zburzenia Bastylli. Zburzyć Bastyllę, gdyby istniała, obudzić i rozdrażnić namiętności mas, spuścić z łańcuchów dzikie instynkty, dopełnić krwawej zemsty—umiałyby i pokolenia obecne. Ale wyłonić z siebie wielkich bohaterów, męczenników i apostołów, zwycięzkich w walce i nieustraszonych w idei, mogących otworzyć nową epokę dla świata — do tego Francya dzisiejsza sił nie posiada. Do czego jest zdolną, widzimy w jej bojach i starciach politycznych. Rzadko w historyi spotykają się takie przeciwieństwa miary ludzi i wypadków, jak teraz we Francyi, gdy wobec wskrzeszonych wspomnień o potężnych postaciach i czynach przedstuletniej tragedyi, przedstawiciele narodu okładają się kijami i biją po twarzach, jedni krzyczą: niech żyje Rzeczpospolita! — ciągle umierająca, a drudzy: niech żyje Boulanger! — warchoł, komedyant, oszust, a przedewszystkiem zero.

Zaiste, okropne zestawienie. Można czuć nawet odrazę do bohaterów Rewolucyi i zarazem przyznać, że Boulanger, jako ich potomek i spadkobierca jest czemś potwornem. O gorsze zwyrodnienie w dziedzictwie idei — trudno. A cóż spostrzegamy po drugiej stronie? Niemoc, nieudolność i strach.

Izba francuska była znowu widownią zajść gorszących. Opryszkowie z bandy Boulangera zwymyślali przeciwników, ministrów, prezesa i ustąpili z trybuny dopiero przed siłą. Są to wszakże wypadki tak zwykłe, że nie warto poświęcać im szczególnej uwagi. Ale zasługuje na nią uchwała parlamentu, związana z bulanżyzmem. Mianowicie postanowiono, że nadal żaden poseł nie może kandydować współcześnie w kilku okręgach, tylko w jednym. Jest to środek wymierzony wprost przeciwko Boulangerowi, który zapowiedział, że na przyszłych wyborach wystąpi jako kandydat we wszystkich okręgach, a gdy zwycięży drogą takiego odwołania się do ludu, ujmie ster państwa w swe wszechwładne ręce. Jeżeli ktoś zalepi ranę kitajką, niewątpliwie ją zasłoni, ale niech nie mówi, że ją wyleczył. Uchwała Izby doraźnie osiągnie cel zamierzony, ale nie jest reformą, nie jest ubezpieczeniem Rzeczypospolitej, natomiast zaś sprowadzi złe skutki a nawet otoczy nową aureolą tego, w którego chce ugodzić. Przedewszystkiem może pozbawić parlament sił najlepszych i zatamować drogę rozwojowi żywiołów republikańskich. Dotychczas najtężsi zapaśnicy występowali jednocześnie w okręgach pewnych i najbardziej zagrożonych, a zdobywszy posterunki trudne, odstępowali łatwe towarzyszom, i tym sposobem pomnażali swój zastęp. Teraz każdy poseł znakomity musi albo ograniczyć się do okręgu, z którego niezawodnie wyjdzie zwycięzcą, albo też ryzykować się na wątpliwą walkę i nieraz w niej przepadać.

Dzięki temu Rzeczpospolita będzie mogła rozszerzać swój grunt w kołach wyborczych tylko zapomocą jednostek miernych, przeznaczonych na stracenie, co jej na dobre nie wyjdzie. Ale po za tem prawdopodobieństwem strat w siłach posiadanych i do zyskania możliwych, odsłania się daleko gorszy wpływ moralny. Jeżeli Boulanger zamierzył kandydować we wszystkich okręgach, a Izba obawiała się, ażeby ich, albo też większej części nie zagarnął, to znaczy, że ona niema dostatecznej podstawy w narodzie, on zaś tę podstawę posiada. Jest to więc z jednej strony gwałt, z drugiej otwarte przyznanie się do niemocy i przywłaszczycielstwa praw. Jeżeli teraz Boulanger będzie dowodził, że obecni rządcy Francyi nie są jej przedstawicielami i pozostają na swych stanowiskach wbrew jej woli, że gdyby tej woli pozwolono objawić się swobodnie, jemu powierzyłaby najwyższą władzę, będzie miał formalną słuszność. Bo dlaczegóż zabroniono jemu jednemu współzawodniczyć z całą gromadą republikanów, głoszących ciągle, że są wyrazicielami opinii kraju? Owa tedy ostracyzmowa

uchwała była błędem, tem większym i niepotrzebniejszym, że jeżeli istotnie śledztwo obciążyło Boulangera wieloma i ważnemi przewinieniami, utraci on prawa do godności poselskiej i przez to samo o plebiscyt się nie pokusi. Człowiek, uznany sądownie za spiskowca i trwoniciela funduszów publicznych, nie może przecie być deputowanym — więc po cóż ostracyzm przeciw niemu? Źle, przynajmniej dotąd, wyzyskali tę niezręczność przeciwników poplecznicy exgenerała. Zamiast wyprawiać burdy, powinni oni byli oklaskać wniosek Floqueta i Clemenceau'a wraz z uchwałą Izby i zawołać donośnym głosem: rząd francuski sam przyznał możliwość wyboru Boulangera we wszystkich lub wielu departamentach, a zarazem brak oparcia dla siebie w narodzie; jest to innemi słowy wyrażone: niech żyje Boulanger!

Rzeczywiście nieprzyjaciele mimo woli i wiedzy przygotowali mu tryumf, wprawdzie czysto moralny, ale wielki.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W ubiegłym tygodniu politycznym prasa europejska zajmowała się głównie nowemi „frykcyami“ Bismarka. Przysłowie twierdzi, że „gdzie jest dym, tam musi być ogień,“ więc też prawdopodobnie pomiędzy naczelnikiem sztabu głównego w Niemczech, hr. Waldersee a kanclerzem musi zachodzić jakieś tarcie. Według powszechnie przyjętej legendy, pierwszy ma rwać rydwan państwowy do wojny, drugi zaś — wstrzymywać go hamulcami pokoju. Jak gdyby dla potwierdzenia tej legendy, w *Nordd. Allg. Ztng* pojawił się artykuł, ni stąd ni zowąd przypominający ludziom, co myślał kiedyś o polityce Clausewitz. Otóż sądził on, że jej sprawy powinny wyłącznie spoczywać w ręku ministra spraw zagranicznych, nie zaś hetmana wojskowego, gdyż armia jest tylko środkiem politycznym. Prasa opozycyjna natychmiast w tych rozmyślaniach dostrzegła palec Bismarka, wskazujący ku Walderseemu. A więc drugi pierwszemu sprawia „frykcye“? Organ kanclerski nie mógł dla samej przyzwoitości przepuścić swobodnie w świat tego wniosku i oświadczył, że owe rozmyślania na temat Clausewitza były czysto akademickiej natury. Śmiał się p. Pindter, gdy to pisał, a śmiał się z gniewu przeciwników, podrażnionych przypuszczeniem, że ich sługa kanclerski uważa za tak naiwnych. Zekpali go też należycie. Istotnie, trzebaby posiadać łatwowierność dziecka, ażeby uwierzyć, że *Nordd. Allg. Ztng*, służąca za tubę Bismarkowi, bez powodu, z braku innych, świeżych przedmiotów, ot tak sobie, dla rozrywki zaczęła medytować, co też o stosunku szefa sztabu wojskowego do ministra spraw zewnętrznych napisał kiedyś Clausewitz. Ale skoro gadzinka przynajmniej pozornie odłamała ostrze swej strzały, wymierzonej przeciw hr. Waldersee, i on musiał ze swej strony wzmocnić pozór zgody i oświadczył, że podziela ową teoryę, a do wojny bynajmniej Niemiec nie popycha. Naturalnie i jemu nie uwierzono. Opinia publiczna pozostała w przekonaniu, że pomiędzy kanclerzem a szefem sztabu istnieje sprzeczność dążeń, a nawet wyraźny zatarg i że młody cesarz bardziej przechyla się na stronę młodszego, niż zgrzybiałego doradcy.

W sporze ze Szwajcaryą — jak przewidywaliśmy — gdy Bismark wysapał się, zaczyna teraz iść w kierunku woli monarchy, który podobno niechętnie patrzył na cały ten zatarg. *Nordd. Allg. Ztng* zrobiła nowy w milionie swych zwrotów i dowiodła — ona właśnie tem się odznacza, że wszystko umie dowieść — najlepszych zamiarów względem Szwajcaryi, gdyż rząd niemiecki chce prowadzić walkę jedynie z mieszkającymi u niej socyalistami. I znowu p. Pindter się śmieje, ale śmieją się z niego i w Bernie.

Komisarz niemiecki Wissman bombarduje jedną po drugiej osady murzyńsko-arabskie na wschodniem wybrzeżu Afryki, a serca jego ziomków podskakują radośnie z powodu tych zwycięztw, karmiąc się słodką nadzieją, że wreszcie staną mocnemi nogami na gruncie kolonizowanym. Ze niemcy umieją bombardować i zwyciężać w wojnie, o tem nikt nie wątpi, czy jednakże te tryumfy dadzą im trwałą podstawę panowania, na dwoje babka wróżyła. Sami oni bowiem mniej lub więcej świadomie czują, że zdolnosci kolonizacyjnej jeszcze w sobie nie wytworzyli.

Inne mają znaczenia zwycięztwa anglików nad derwiszami z pomocą wojsk egipskich. Ci umieją utrzymać i wyzyskać każdy zdobyty zagon.

Izby francuskie, uchwaliwszy prawo o wyborach jedno-okręgowych, odroczyły się. Jednocześnie trybunał najwyższy, złożony w sprawie Boulangera, ukończył swoje śledztwo i postawił go wraz z Rochefortem i Dillonem w stanie oskarżenia: o zamach stanu, roztrwonienie pieniędzy publicznych i używanie ich na cele własne.

Podczas gdy w Belgradzie nie ustają objawy jednoczenia się Serbii z Rosyą, Bułgarya zdradza ciągle sympatye austryackie. Jeden z telegramów opowiada nawet, że „*attaché* austryacki przy ambasadzie konstantynopolitańskiej odbył przegląd wojska bułgarskiego w Filipopolu i Sofii.“ Jeżeli to doniesienie jest ścisłem, wygląda bardzo drażniąco.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kasy oszczędności dla urzędników pocztowych.

Projekt urządzenia kas oszczędności dla urzędników pocztowych w całem państwie jest zatwierdzony przez władze wyższe. Najpierw tytułem próby będą otwarte w niektórych tylko guberniach. Za wzór posłużą instytucye tego rodzaju, dawno już istniejące w Niemczech, Anglii i Francyi. Główną zasadą jest, aby jak najbardziej uprzystępnić wnoszenie składek. W tym celu kasy takie powstaną przy wszystkich instytucyach pocztowych, nadto będą specyalne *marki oszczędnościowe*, wartości pięcio-kopiejkowej, sprzedawane wszędzie, jak dzisiaj pocztowe. Każdy z urzędników na żądanie otrzyma kartę z oznaczeniem dziesięciu przedziałek dla naklejania marek oszczędnościowych. Po zaklejeniu wszystkich przedziałek, urzędnik składa kartę do kasy, skąd otrzyma książeczkę z zaznaczeniem, że wniósł 50 kop. Przy składaniu kart następnych, należy przedstawiać tę książeczkę, w której za każdym razem wy-

---

CARLA.

W miesiącu czerwcu ubiegłego roku znalazłem się w uroczej, według przyjętego określenia, Genewie. Istotnie, miasto położone nad malowniczemi brzegami Lemanu wyglądało podówczas odświętnie i, jeżeli chcecie, uroczo. Powaby wiosny, upajające jak sen lub marzenia, zaledwie minęły i lato rozpaliło swe żary ogniste, rzucając wokoło świeże jeszcze blaski.

Nie wiedziałem, jak długo będę musiał zatrzymać się w tym kącie ziemi szwajcarskiej i co mi jutro przyniesie. W oczekiwaniu tego jutra wynająłem w jednej z dzielnic przedmiejskich umeblowany pokoik i ze stacyi tej podziwiać mogłem czary lata lub cuda natury.

Z po za zielonych sadów, rozłożystych platanów i willi, bielejących śród drzew, wyłaniało się przede mną od strony północnej pasmo gór Jura, ku południowi zaś widniały szczyty Alp sabaudzkich a dalej jeszcze wiecznie biały szczyt Montblancu błyszczał w promieniach słońca, urągając latu i jego upałom. Zawsze jednaki i zawsze zimny zdawał się on patrzeć na świat oczami Molocha, w którego obojętną paszczę rzucano żywe ofiary na pożarcie. Podziwiany tylokrotnie Montblanc wydawał mi się pogańskim bałwanem, będącym jakby uosobieniem bezdusznego fatum czy bóstwa przeznaczeń.

Byłem zresztą mało usposobiony do rozkoszowania się wdziękami lata lub Genewy i wychodziłem mało z mej ustronnej kryjówki, ilekroć zaś wybiegałem dalej, wracałem szybko. Dolina Lemanu, zamknięta górami, wydawała mi się jakąś klatką lub samotrzaskiem i tęskniłem wówczas za stepem bezbrzeżnym, po którym myśl i człowiek biegać mogą swobodnie. Przepędzałem więc długie chwile najczęściej u siebie, sam na sam z myślami lub książką, w której znajdowałem rozrywkę, czytając i pisząc niekiedy. Drzwi od mego pokoju prowadziły do ogródka, mającego kształt tarasu i otoczonego murem. W ogródku kwitły bzy wonne, barwne róże stulistne i wszelkie kwiecie. Gdy minęły południowe upały, lubiłem przesiadywać w cieniu bzów, tonąc w rozkosznych lub smutnych marzeniach, lub też gryząc wędzidło, które mnie w tej Kapui trzymało.

Z posterunku mego, skryty w gałęziach bzów obserwować mogłem ruch przedmiejski, jaki się budził o tej porze. Tuż obok, przed memi oczami, ulokował się tak zwany „maneż,“ ujeżdżalnia, gdzie odnajmowano konie nadobnym amazonkom i uczono je niełatwej sztuki dosiadania tresowanych biegunów. Pod oknami mego pokoju przeciągały co wieczór całe kalwakaty jeźdźców spacerowych i zapalonych amazonek.

Między temi ostatniemi jedna szczególniej zwróciła moją uwagę.

Była to piękna blondyna, smagła, zgrabna, średniego wzrostu o ułożeniu swobodnem i eleganckiem. Nosiła z wdziękiem czarną suknię amazonki, na płowych zaś włosach miewała kokieteryjnie osadzoną aksamitną czapeczkę, zwaną dżokiejką. Ładną była istotnie i ujmującą, z twarzyczką swą o pięknym owalu i cerze nieco przyćmionej. Była to jedna z tych płowych i śniadych kobiet, które łączą w sobie powab blondynek z temperamentem brunetek. Żywa, swobodna i widocznie niezależna. Pomawiano ją o kokieteryą. Genewskie kumoszki patrzyły na swobodę tę i niezależność z niedowierzaniem. Robiły ją wprost metresą jednego lub nawet kilku naraz jeźdźców a nawet masztalerzy...

Nie wiele zwracałem uwagi na te genewskie gadaniny, nie dosiadałem jednak rumaka i poprzestałem na stanowisku obserwacyjnem. Nie miałem zresztą ochoty do pogoni za jakimkolwiekbądź motylem, choćby on błyszczał i wabił wszystkimi kolorami tęczy; zgrabna jednak figurka amazonki pociągała mnie... Nie domyślałem się bynajmniej, że piękna moja amazonka, tak wesoła i swobodna stać się ma niebawem bohaterką smutnej tragedyi...

Gdy się to stało, dowiedziałem się więcej szczegółów o nieznajomej.

Pochodziła z Tryestu, tych Włoch austryackich i zdawała się też łączyć w sobie powab wiedenki z urokiem córy Italii. Była sierotą i liczyła dwudziestą i drugą wiosnę. Wychowywała się na łasce opieku-

szczególnia się wniesioną kwotę. Gdy tym sposobem urośnie 25 rubli, będą już one dawały 3% rocznie. Ci, których oszczędności dosięgły 1,000 rs., będą mieli do wyboru albo zakupienie papierów państwowych, albo przelanie tej sumy do Banku państwa, albo wreszcie odebranie jej w całości z kasy. Przy tem wszystkiem będą wprowadzone możliwie największe udogodnienia.

Europa zachodnia dowiodła, iż sumy w ten sposób zbierane dochodzą do olbrzymich rozmiarów. *Nediela*, wzmiankując o projekcie, robi ciekawe uwagi: państwo otrzyma pieniądze na bardzo wygodnych warunkach; będzie płaciło tylko 3% i to zaczynając od 25 rs., a ileż to wkładów będzie niższych od tej kwoty! Stąd powstaną znaczne kapitały bez procentu. Sumy więc te powinny być odpowiednio zużytkowane, tj. powinien z nich powstać tani kredyt dla ubogiej ludności, dla której obecnie, z bardzo nieznacznymi wyjątkami, nicma wcale kredytu przystępnego. Jednocześnie zaś na usługi większych posiadaczy ziemskich i wielkiego przemysłu istnieją: Bank państwa, Bank szlachecki, Towarzystwo wzajemnego kredytu, banki miejskie, akcyjne itd.; dla warstw zaś ludowych jest tylko Bank włościański, że specyalnem znaczeniem i kilka kredytowych instytucyj ziemskich z bardzo ograniczonymi środkami. Tymczasem potrzeba kredytu dla tych mas coraz bardziej wzrasta. Dotychczas przeszkodą w uprzystępnieniu takiego kredytu — dodaje *Niediela* — był brak niezbędnych środków. Teraz kasy pocztowe dadzą możność wprowadzenia tak doniosłych udogodnień. Byłoby bardzo odpowiedniem i pożądanem — kończy pismo — ażeby zaraz po otwarciu kas pocztowych, utworzono wszędzie tani kredyt państwowy. Niech pieniądze, które kasy pocztowe otrzymają od mas ubogich, idą na korzyść tych właśnie mas.

Z. P.

Z NAD DUNAJU.

Wiedeń, 14 lipca.

Echa wyborcze z Galicyi i Czech. — Upadek Rygera a zwycięztwo Gregra. — Ze świata literackiego: śp. Józef Wellen i dzieło o krajach korony austryackiej. — Ludwik Mertens i nowy utwór jego „Falad." — Sezon teatralny we Wiedniu.

Wybory do sejmów krajowych w Galicyi i Czeszech, zrazu zaprzątające tylko umysły polaków i czechów, wskutek niespodziewanego swego rezultatu, wzbudziły popłoch w szeregach całej prawicy parlamentarnej, zaniepokoiły opierający się na niej rząd i stały się pierwszorzędnym przedmiotem rozpraw w całej prasie austryackiej. W Galicyi przewaga szlachty w sejmie nie została złamaną, zawsze bowiem na 150 krzeseł poselskich 90 pozostaje nadal w jej posiadaniu. Jednakże wybór zastępu posłów włościańskich, niesłychane wytężenie stronnictwa demokratycznego we Lwowie, by przeprowadzić Henryka Rewakowicza mimo nacisku, wywieranego z góry, wreszcie zwiększona liczba posłów ruskich, to memento wielkiej wagi, które jasno powiada właścicielom wielkich obszarów, że Galicya żąda od nich przestrzegania interesów kraju, nietylko dla własnej korzyści, i że dawne ku nim zaufanie głęboko jest podkopane. Szerszą doniosłość przypisać należy zwycięztwu młodo-czechów nad staro-czechami, Gregra nad Rygerem. Czterdzieści głosów zdobyło stronnictwo Gregra, rozporządza ono już dwoma głosami w wydziale krajowym; przy wyborach z kuryi posiadłości mniejszych pobiło Rygera, najlepszych przyjaciół jego, Trojana i Zeithammera, a wybory z miast, to nowy dla Gregra tryumf. Jest to rzeczą jasną dla wszystkich, że zwycięztwo młodoczechów ma znaczenie nietylko chwilowe i nietylko miejscowe; mając możność występowania w sejmie ze swym programem, młodo-czesi dołożą wszelkich sił i starań, by przygotować sobie grunt dla większego jeszcze zwycięztwa przy niedalekich wyborach do Rady państwa. Walczą oni z dualizmem, dążą do samodzielności królestwa czeskiego w granicach monarchii austro-węgierskiej, wreszcie do wzmocnienia wzajemnych stosunków narodów słowiańskich. Klęska, grożąca staro-czechom przy nowych wyborach, może się stać fatalną dla obecnego systemu rządowego i dla gabinetu, powodując nową epokę w dziejach Austryi. Z wznowioną siłą powstałyby wówczas walki o formę państwową, z których przed dziesięciu laty wyszło ministeryum Taaffego. Młodo-czesi żądać będą konsekwentnego federalizmu, zupełnego równouprawnienia narodowości; rząd będzie miał do wyboru albo zgodzić się na zasadnicze przekształcenie wewnętrznej budowy państwa, albo stanąć na czele gwałtownej reakcyi centralistyczno-klerykalnej. Czego od przyszłości spodziewać się należy, nie trudno dociec, skoro się przegląda dzieje gabinetu Taaffego, uwzględniając zarazem zachowanie się Rygera, które spowodowało jego upadek. Dążenia federalistyczno-liberalne, drzemiące w narodzie a uświadamiane przez młodo-czechów, dobrze znane były hr. Taaffemu. Przez lat dziesięć starał się on usilnie o to, by je zmienić lub uśpić. Ofiarował czechom wszystko, czem rozporządza większość parlamentarna, rozdawał pomiędzy nich zaszczyty i posady, stworzył wszechnicę, powiększył liczbę szkół średnich, odstąpił im Izby handlowe, słowem czynił wszystko, aby ich sobie zjednać. Trzymając się konsekwentnie tej polityki, jeszcze podczas walki wyborczej uczynił nowe, drobne ustępstwo dla autonomicznych dążeń czechów: dziennik ustaw państwowych ogłosił właśnie w dzień wyborów do sejmu z miast, że prawnicy czescy zdawać mogą egzamin prawno-historyczny w języku ojczystym, podczas gdy dotychczas obowiązani byli do zdawania jednego przynajmniej przedmiotu w języku niemieckim. Atoli ta polityka okruszyn zawiodła zupełnie. Nigdy jeszcze stronnictwo polityczne w Austryi tak strasznej nie poniosło klęski, nigdy nie straciło przeszło połowy mandatów. Nigdy też może wódz jego, co przez tak długi szereg lat stał u steru spraw krajowych, ogrzewany słońcem powodzenia, nie stracił tak nagle popularności wraz z potęgą i wpływem. Wypłynął on za młodu, broniąc praw narodu i haseł postępowych. Zczasem, nie poświęcając może zupełnie ideałów dawnych, przywdział maskę dyplomaty, i pragnąc zwyciężać dwulicowością, zgubił się zbytkiem dyplomacyi. Czemże był właściwie Ryger? Chciał uchodzić za bohatera ludu, a był narzędziem księcia Szwarcenberga. Popierał politykę hr. Kalnokego, działając jednocześnie w duchu całkiem innym. Dążył do wyparcia żywiołu niemieckiego z Czech, a publicznie uznawał potrzebę języka niemieckiego z Czechach. Z naciskiem wspominał nieraz o niezmiennych, liberalnych swych poglądach, a był partyzantem

---

nów i nieżyczliwych krewnych, póki nie doszła do pełnoletności, która jej dała własny majątek i niezależność. Porzuciła wtedy macoszą ojcowiznę i *via* Medyolan przybyła do Genewy.

W mieście Jana Jakóba zbiera się liczna dość kolonia cudzoziemska ze wszystkich końców świata. Gromady lordów angielskich ze swemi smukłemi *ladies* ciągną tędy do Włoch jak słomki lub rozłażą się po całej Szwajcaryi, zabijając *spleen* i wyrzucając pieniądze, z któremi nie wiedzą, co robić. W pysznych hotelach nad brzegami jeziora zbiera się tu latem stek turystów wszelkich narodowości.

Cudzoziemski ten świat żyje życiem odrębnem i gorszy lub dziwi niepomału swymi obyczajami surowych mieszczan starej Genewy. Świat też to nietylko różny od miejscowego, lecz i złożony z żywiołów krańcowo sprzecznych, w którym angielskie miliony i *spleen* graniczą o miedzę z radykalną biedą i żywem pragnieniem życia, arystokratyczne konwenanse z anarchiczną swobodą urządzania się.

Ku koczowniczym tym namiotom i szałasom ciągną różne jednostki z całego świata: wykolejeni lub znudzeni i żądni wrażeń turyści, przesuwający się jak komety między światami; na granicach tych światów spotykają się najsprzeczniejsze pojęcia i sytuacye, najróżnorodniejsze narody, kultury, obyczaje i zwyczaje. Wschód wysyła tu swych nomadów z Bułgaryi, Armenii, Kaukazu i dalszych krain; wysyła ich i Ameryka, zarówno z brazylijskich pampasów, jak z chłodniejszej północy.

Ku temu obozowisku pociągnęła i Carla, pragnąc tu żyć niezależnie, znaleźć w życiu tem zajęcie, rozrywkę, ponętę, los, szczęście...

Zwyczajem koczowniczym szukać musiała pomieszczenia, w tak zwanej *pension*, gdzie pod okiem gospodyń lokują się w hotelowych numerach i spotykają przy wspólnym stole najróżnorodniejsze osobniki i charaktery.

Po zatem zaczęła się oddawać jeździe konnej; podobno myślała zostać woltyżerką, jeździła zresztą dla zabicia czasu i towarzystwa, którego nie miała, prócz współbiesiadników przy stole i sąsiadów w numerach *chambres garnies*.

Między takimi sąsiadami spotkała na jednej z „pensyj" podobnych młodego chilijczyka z Ameryki południowej, bogatego chłopca, którego ojciec był senatorem w Chili, sam mieszkał w Paryżu, synka zaś wysłał na naukę do Genewy.

Nauka jednak szła w las. Młody urwis rzucał książki w piec, uciekał z internatów szkolnych a mając znaczne środki pieniężne, rozrzucał je, puszczał i wydobywał następnie, skąd się dało, nawet z pogwałceniem przykazania o własności. Jak dziki źrebiec-mustanga brykał też po stolicy pietyzmu kalwińskiego, w towarzystwie lampartów różnych narodowości, nie więcej wartych od niego.

Nadobna sąsiadka w *pension* wpadła w oczy łobuzowi. Rozgorzał odrazu. Carla nie podzielała tych zapałów; była kobietą innego kraju i temperamentu, była jednak kobietą. Swoboda jej zachowania się, zrozumiała dla anglika, w oczach francuza lub chilijczyka uchodzić mogła za wyzywanie lub kokieteryę, idącą zadaleko. Piękna tryestanka uważała to jednak za niewinny *flirt*, w którym pozwolić sobie można wiele, nigdy jednak wszystkiego.

Carla nie należała do kobiet, przekraczających bezwiednie Rubikon niewieści. Bywają i takie, czują jednak instynktowo lub z zasady całą ważność zerwania pierwszego owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego. Carla należała widocznie do tych ostatnich. Gwałtowny chilijczyk nie podobał jej się tak dalece, ażeby miała mu oddać całą swą istotę, całą przyszłość. Uważała go za zepsutego chłopca, pochlebiał zresztą jej próżności kobiecej ten ogień i igrała z nim, jak sentymentalna córa Germanii lub chłodna włoszka.

Chilijczyk nie się jednak na tych niewieścich skrupułach i na tej strategii nie rozumiał. Kochał na swój sposób a raczej gorzał i z gwałtownością dziewiętnastoletniego barbarzyńcy domagał się wszystkiego.

Napotykał atoli w tym punkcie na opór nieprzełamany i to doprowadzało go do wściekłości.

Carla nie umiała zerwać i nie chciała się oddać.

księcia Lichtensteina w walce o szkołę wyznaniową.

Śmiało powiedzieć można, że ten ostatni sojusz był bezpośrednią przyczyną upadku Rygera i groźnej pozycyi, w jakiej obecny system rządowy nadspodziewanie się znalazł. Książe Lichtenstein jasno okazał, dokąd zmierza polityka szlachty feudalnej, atak jego na szkołę i oświatę poruszył do głębi umysły zaślepione może zwycięztwami większości na polu autonomii, i pobudził do wytrwalej walki warstwy dotychczas bierne. Opozycya na prawicy, o której minister Dunajewski niegdyś ironicznie wspominał, staje się rzeczywistością, z tem, co dotychczas uchodziło za mrzonkę, mężowie stanu na przyszłość zmuszeni będą liczyć się poważnie. W pierwszym popłochu prasa urzędowa wydawała okrzyki trwogi, które zczasem pono innemu tonowi ustąpią miejsca. *Fremdenblatt*, stojący w ścisłych stosunkach z ministerstwem spraw wewnętrznych, napisał o programie młodo-czechów, że jest on równoznaczący z burzeniem wszystkiego, co istnieje, z powszechnem zamieszaniem. A jednak jest to program pojednania ludów austryackich na gruncie wzajemnego poszanowania, równouprawnienia i pracy około wspólnych interesów, będących interesami całej monarchii. Na szczęście w programie prasy tej niema konsekwencyi, używają tam piór giętkich i po wyborach do Rady państwa może to samo pióro nazwie program młodo-czechów racyonalnym i patryotycznym, żądając jeno powolnego tempa w wykonaniu...

Wiedeński świat literacki stracił jedną z najwybitniejszych postaci w osobie Józefa Weilena. Wiadomo, że stolica naddunajska umie czcić swych poetów i że ściślejsze stosunki przyjazne między nimi a światlejszymi członkami najmożniejszej arystokracyi należą do tradycyj wiedeńskich. Podobnie jak niegdyś Grillparzer i jak dziś Bauernfeld, Weilen był stałą ozdobą pierwszorzędnych salonów, ciesząc się zwłaszcza przyjaźnią arcyksięcia Rudolfa. W latach ostatnich zajmował się prawie wyłącznie redakcyą wielkiego, podjętego przezeń dzieła, „Oesterreich in Wort und Bild.“ Posiadał nietylko odpowiednią wiedzę i znajomość stosunków Austro-Węgier, ale przedewszystkiem takt polityczny, który był głównym warunkiem przy redagowaniu dzieła, złożonego z licznych monografij autorów wybitnych o ich krajach rodzinnych. Należy mu się uznanie, że porzuciwszy dawne stanowisko centralistyczno-niemieckie, chętnie pozwalał współpracownikom uwydatniać zalety właściwe krajom ich i ludom, tak, iż po raz pierwszy może w literaturze niemieckiej fizyognomia krajów słowiańskich, połączonych koroną austryacką, w sprawiedliwem, bezstronnem występuje świetle. Podniósł tę zaletę Weilena przyjaciel jego Jokaj w mowie pogrzebowej, przypominając, iż hasłem Weilena było: ktokolwiek jest patryotą, jest bratem moim, jakimkolwiek by językiem mówił. Weilen doprowadził dzieło owe aż do piątego tomu; całość objąć ma tomów piętnaście, ogłoszenie jego trwać będzie lat dziesięć. Nizka stosunkowo cena sprawiła, iż liczy ono 30,000 abonentów i dziś już przynosiło czystego dochodu 60,000 zlr.

Weilen był prezydentem wiedeńskiego stowarzyszenia literatów „Concordia,“ a zarazem przewodniczącym fundacyi im. Schillera; na obu stanowiskach z taktem i delikatnością wspierać umiał pisarzy żyjących w niedostatku. Obsypywany zaszczytami i posiadając stosunki ze sferami najwpływowszemi, nie przestawał czuć się kolegą i częstokroć używał towarzyskich swych wpływów, by poprzeć towarzyszów pióra. Z zamiłowaniem oddawał się działalności inspektora konserwatoryum dramatycznego, które założono z jego inicyatywy. O ile z jednej strony popierał talenty prawdziwe nietylko podczas studyów, lecz i później na scenach niemieckich, o tyle energicznie nieraz występował przeciw napływowi miernot, które dziś wypełniają pierwszorzędny ten instytut, zabezpieczający karyerę.

Najmniej dobrego rzec można o literackiej działalności Weilena, która nie pozostawała w sprawiedliwym stosunku do niesłychanego jego powodzenia. Będąc jeszcze profesorem literatury w szkołach wojskowych, wystąpił z dramatami czysto akademickiego pokroju, z których parę pojawiło się na scenie wiedeńskiego Burgtheatru. Dawno zapomniane, nie stanowią one trwałego dla literatury i sceny nabytku i nie na nich też opiera się powodzenie autora. Był on natomiast mistrzem poezyi okolicznościowej i chociaż niektóre z jego „Festspielów“ budzić muszą niesmak, to jednak krytyk bezstronny nie może im odmówić wartości literackiej, werwy dramatycznej, która je ożywia i wytworczej formy. Weilen napisał był tekst do owych historycznych obrazów żywych, które wykonali członkowie domu cesarskiego podczas uroczystości srebrnego wesela panującego dziś dziś cesarza. Najobfitsze atoli laury uzyskał „Festspiel,“ wystawiony w dawnym Burgtheatrze w setną rocznicę otwarcia tej sceny; mniej podobał się prolog, wypowiedziany przy otwarciu nowego gmachu sceny nadwornej.

Większego utworu Weilen od lat wielu już nie ogłaszał. Dowcip wiedeński, który nie szanuje nawet wieku, a lekceważy sobie najzupełniej powagę stanowiska społecznego, w ostatnich latach dał Weilenowi przydomek „literackiego Bratfisza arcyksięcia Rudolfa.“ To przyrównywanie dygnitarza literackiego do ulubionego dorożkarza i „Volkssängera“ Rudolfa mogło być zabawnem, lecz bynajmniej nie cechowało poziomu umysłowego i moralnego Weilena.

Że ród poetów austryacko-niemieckich nie wymarł jeszcze całkowicie, mimo iż głoszą to w Berlinie, o tem świadczy w rzędzie innych utworów nowe dzieło Ludwika Mertensa, które pojawiło się pod tytułem „Falad.“ Mertens jest epikiem większego pokroju, piszącym rzadko, lecz zawsze na podstawie sumiennych studyów i z świeżą, pełną siłą twórczą. Zajmuje go głównie historya Wiednia, która przewyższa dzieje wszelkich innych stolic europejskich bogactwem motywów poetyckich. Wsławił się przed dwudziestu przeszło laty utworem epickim p. t. „Wiedeń oblężony.“ Kiedy przed pięciu laty święcono rocznicę odsieczy Wiednia, gmina miejska ogłosić chciała utwór ów w wydaniu okazałem, żądała jednak od autora, by usunął niektóre miejsca zgodne bardziej z prawdą historyczną, aniżeli z chwałą dynastyi. Mertens odmówił, zaznaczając, iż jest poetą, nie zaś karyerowiczem goniącym za orderami.

„Falad“ przedstawia Windobonę starożytną w chwili, kiedy dumne to miasto rzymskie dostaje się w ręce germanów, a św. Seweryn apostołuje w okolicy naukę chrześciańską. Potężnie charakteryzuje Mertens trzy te żywioły: Rzym upadający w postaciach Mamertyna i córki jego Pii; młode ludy germańskie w osobach Falada, młodego księcia rygów, rodziców jego i przyja-

---

Zniechęcony chwilowo niepowodzeniem rozgarzały chilijczyk wyjechał.

Odetchnęła, czuła się swobodniejszą, jeździła konno, kokietowała i „flirtowała.“

Oddalenie wzmogło jednak tylko zapały gwałtownego młodziana. Najniespodziewaniej powrócił i zamieszkał znów na „pensyi,“ w której przebywała Carla.

Po dość burzliwem i gniewnem przywitaniu nastąpił chwilowy pokój, czy zawieszenie broni; w nagrodę nawet tego zgodnego usposobienia Carla przystała na wspólną spacerową wycieczkę, zawsze jednak nie chciała przekroczyć granic kokieteryjnego *flirtu*.

Po powrocie z południowej wycieczki towarzystwo hotelowe zjadło znów wspólny obiad. Następnie udano się do salonu, z tego zaś, a było już ciemno, Carla dała się swemu wielbicielowi wywabić na balkon, by uniknąć głośnych sprzeczek i wyrzutów przy ludziach.

W parę minut potem rozległy się na balkonie dwa strzały. Jednym z nich Carla ugodzona w oko padła na miejscu, drugim napastniczy chilijczyk zupełnie nieszkodliwie zadrasnął sobie twardą czaszkę.

Biedną dziewczynę wystraszona gospodyni wraz z swymi lokatorami kazała przenieść do jej numeru, mordercę zaś zaprowadzono do pobliskiego szpitala.

W hotelowym pokoju Carla leżała pokryta śmiertelną bladością, świeża jeszcze jak kwiat, który przed chwilą zerwano. Koło niej nie było nikogo; jedna tylko jej ulubiona suczka płakała przy łóżku ludzkiemi łzami i oderwać się od swej pani nie dawała.

O wypadku zawiadomiono oczywiście przedewszystkiem policyę i sąd, który odpowiednie śledztwo zarządził. Carlę zawieziono do *morgue judiciaire*, do trupiarni, gdzie miały się odbyć urzędowe naprzód oględziny lekarskie i sądowe. Brutalna ręka posługacza, zdarłszy szaty dziewicze, rzuciła ciało o marmurowych kształtach na stół sekcyjny. Leżała na nim długo. Ta, która wdzięki swoje kryła zazdrośnie, stała się przedmiotem niedyskretnych badań i ciekawych odwiedzin, za opłaceniem stróżowi odpowiedniej łapówki.

Nie było nikogo, coby bronił tych nagich zwłok od skalania i poniewierki. Spodziewano się, że przybędzie ktoś z opiekunów lub krewnych zabitej. Zawiadomiono ich i czekano z pogrzebem.

Nikt jednak nie przybył, po dniach więc dziesięciu kazano pochować sprofanowane szczątki.

Zwyczaj genewski każe, iż rodzina i krewni zmarłego, przed wyniesieniem zwłok na cmentarz ubierają się w długie, czarne płaszcze z pelerynami, stają szeregiem przed domem, nawiedzonym przez śmierć i odbierają *honory* od znajomych i przyjaciół, przeciągających parami, z odkrytą głową. Ponieważ Carla nie miała w Genewie krewnych, ani bliższych znajomych, w roli zaś tej wystąpili masztalerze z ujeżdżalni, przed którymi przeciągnęła gromada gapiów, zwabiona opisami tragicznego zajścia w dziennikach. Obyczaj genewski wymaga też, iżby za trumną w orszaku pogrzebowym szli tylko mężczyźni — kobiety zostają w domu. Za trumną Carli poszła garstka ciekawych. Życzliwa jakaś ręka zawiesiła na wozie karawanowym parę wieńców, z pod których spływał biały welon zaślubionej śmierci...

Na mogile cmentarnej porosły wkrótce dzikie trawy i ziela a może i kwiat jaki polny.

* * *

Wypadek opisany zdarzył się w dniu 12 czerwca r. z. Ona nazywała się Carla Sottlin, zabójca — Ludwik Gormaz. Wyleczony szybko z rany stanął przed sądem w połowie stycznia r. b. Mówił, że panna Sottlin była jego metresą, że zabił ją, bo żyć z nim dalej nie chciała, nie mógł pozwolić, żeby należała do innego. Twierdził wreszcie, że sama nie przywiązywała zbyt wielkiej wagi do życia, on zaś także chciał się zabić, chybił jednak. Śledztwo sądowe, poparte zdaniem ekspertów lekarzy, do których grona należał i rodak nasz, dr. Laskowski, profesor anatomii uniwersytetu genewskiego, wykazało, że Carla umarła dziewicą.

Sąd w wielkiej swej wyrozumiałości skazał nieletniego mordercę tylko na lat pięć więzienia. Wyrok zapadł w d. 16 stycznia.

Parisis.

ciół; wreszcie chrześciaństwo zdobywające sobie potęgę podstępem i zręcznością, w osobie Seweryna. Miłość Pii i Falada jedna świat rzymski z germańskim. Mertens, poświęcający się specyalnie poezyi kulturno-historycznej, tworzy na podstawie dokładnych, sumiennych studyów, które po części stają się nawet balastem dla poety. O ile przedstawienie tła historycznego i język, miejscami starożytny z umysłu, czynią utwór ociężałym, o tyle ożywia go dramatyczny sposób przedstawiania, właściwy Mertensowi.

Na zakończenie parę wiadomości z teatralnego świata wiedeńskiego. Burgtheater nie mógł się oprzeć prądowi wiejącemu z Niemiec, a wynoszącemu dramaturga norwegskiego, otwiera on wrota Ibsenowi. W sezonie najbliższym ma być wystawiony jego „Nieprzyjaciel ludu.“ Scena nadworna przygotowuje też wystawienie dramatu Wilbrandta „Margrabia Waldemar.“ Ma to być cukierek, osładzający byłemu dyrektorowi Burgtheatru gorzką pigułkę: odrzucenie jego „Mistrza z Palmiry.“ dramatu wystawionego na scenie monachijskiej. Karltheater obejmuje z jesienią Blasel, wyborny komik i dotychczasowy dyrektor teatru na Josephstadt. Z wielkiem zajęciem oczekują otwarcia „Niemieckiego teatru ludowego,“ którego dyrekcyę objął Emeryk Bukovics. Zwerbował on pokaźny zastęp pierwszorzędnych sił, Tyrolta, Martinellego i petersburskiego aktora nadwornego Denoira, snać z zamiarem wstawienia sztuk poważniejszych na repertuar sceny, która zatem poniekąd współzawodniczyć będzie z Burgtheatrem; przystępne ceny walczyć tu będą z powabem doborowego przedstawienia.

Stwosz.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ WIELKI I DROBNY.

W roku bieżącym ujawniły się ciekawe szczegóły, dotyczące przemysłu fabrycznego od 1885 do 1887 r. Nie posiadając tak cennego materyału, musimy korzystać z drugiej ręki, skąd mamy tylko same fakty suche. Według wiadomości zebranych przez departament handlu i rękodzielnictwa, przemysł fabryczny w Rosyi europejskiej tak się przedstawia w cyfrach: w r. 1885 było 17,014 fabryk z sumą produkcyi 864 milionów rs. (przeciętna producya 50,000 rs.); w r. 1886 — 16,590 fabryk z ogólną sumą produkcyi 866 milionów (przeciętna 52,000 rs.); w r. 1887 — 16,750 fabryk z sumą produkcyi 910 milionów rs. (przeciętna 54,000 rs.). Widzimy z powyższych cyfr, iż w miarę zmniejszania się liczby fabryk, wzrasta ogólna i przeciętna suma wytwórczości. Stąd możnaby wnosić na pociechę kapitalistów, iż niepomiernie wzmaga się przemysł wielki, wypierając coraz bardziej drobny. Inny obraz widzimy po bliższem rozejrzeniu się w szczegółach. Najpierw rozwój przemysłu jest nadzwyczaj słabym; wielki nie ma tak silnych podstaw, aby mógł na wszystkich obszarach państwa zapanować nad drobnym. Fabryka o pięćdziesięciotysięcznym obrocie rocznym nie może być zaliczoną do wielkiego przedsiębiorstwa. Zwróćmy jeszcze na to uwagę, że się przeciętną cyfrę otrzymuje po włączeniu do ogólnego spisu prowincyj najbardziej przemysłowych i takich, gdzie wytwórczość fabryczna jest jeszcze w słabym zarodku. Przewaga przemysłu wielkiego, jak wiadomo, zawsze musi być związaną z udoskonaleniami technicznemi w duchu kapitalistycznym: wprowadzenie maszyn, zmniejszenie liczby rąk roboczych. W rzeczywistości tak nie jest. Liczba robotników fabrycznych wzrasta ciągle (w r. 1885 — 615,0000, w 1887 — 657,000). Postępowi techniczne-mu przeczą następujące dane: z 21,000 osób, w których rękach są samodzielne przedsiębiorstwa fabryczne, tylko 6,8% było techników-specyalistów, reszta bez żadnego wykształcenia fachowego. Powyższe wnioski są oparte na danych o fabrykach z obrotem przeszło tysiąc rubli. Przedsiębiorstwa drobne, z obrotem niższym od tej cyfry, tak się przedstawiają: w r. 1885 było ich ogółem 37,956 z 68,584 robotników; w r. 1886 — 39,663 z 70,804 robotników; w r. 1887 — 47,717 z 80,777 robotników. Podczas gdy przemysł wielki leniwie się porusza i to nie w kierunku udoskonaleń technicznych lub skupienia wytwórczości, lecz jedynie na drodze wzrostu ogólnej sumy produkcyi, przemysł drobny rozwija się względnie dość pomyślnie. Po stronie przemysłu wielkiego stoją takie potęgi, jak: taryfy celne, zapomogi i ulgi, kapitały, maszyny, wykształcenie techniczne; po stronie zaś przemysłu drobnego: kilka niefortunnych prób urządzenia muzeów dla wytwórców tego rodzaju, zacofanie, ubóstwo, brak środków materyalnych. Ta więc słaba dotychczas gałąź wytwórczości powinna otrzymać odpowiednią opiekę i pomoc, a wtedy niewątpliwie przemysł fabryczny się rozwinie w pożądanej formie.

WĘGIEL KAMIENNY.

W roku przeszłym pisaliśmy o wielce zatrważającem dla mieszkańców południowych prowincyj przesileniu w przemyśle węglowym. Przyczyny, wykazane ze strony właścicieli lub przedsiębiorców kopalń donieckich, w części zostały usunięte, jak np. niedołężne środki przewozowe; pomimo to jednak wytwórczość równie jak dawniej jest słabą, ludność zaś na wielkich obszarach nie posiada węgla na niezbędne potrzeby. Istotną przyczyną tych dotkliwych braków jest pierwotny niedołężny sposób eksploatacyi. Weźmy przykłady: w Odesie i innych miastach południowych, pomimo bliskich kopalń, niema wcale węgla donieckiego, natomiast produkt ten przychodzi tam z... zagranicy lub Królestwa Polskiego. W r. 1887 od 1 stycznia do 15 maja, pomimo braku wtedy jeszcze niektórych dróg podjazdowych, przywieziono do portu odeskiego 664,765 pudów węgla z Anglii. W roku przeszłym w tym samym czasie przywieziono węgla zagranicznego 1,277,490 pudów. Wreszcie w roku bieżącym, już po usunięciu pewnych niedogodności kolejowych, przywieziono węgla obcego 4,996,832 pudów, zaś koksu (dotąd nieprzywożonego) 13,992 pud. Tak szybko wzrastający dowóz daje się także spostrzegać w porcie batumskim. A więc ani cła ochronne, ani ulepszenie środków przewozowych nie wpłynęły wcale na rozwój tej gałęzi przemysłu na południu; a przecież niedawno przedsiębiorcy tamtejsi przyrzekali dostarczać *miliony* pudów węgla. Gdy zagraniczni z gorączkową szybkością zasypywali porty czarnomorskie swoim produktem, w tym samym czasie Dąbrowa Górnicza wyprawiła na południe 2,300,000 pudów swego węgla, pomimo wysokiej taryfy przewozowej. Pozostaje więc teraz przemysłowcom donieckim zażądać utworzenia... wewnętrznej komory celnej dla węgla z zachodnich krańców państwa.

Odeskij Wiestnik, rozżalony na kapitalistów donieckich, takie wypowiada zdania: „Wszystko ma swoje granice, nawet apetyt naszych przemysłowców. Nie wolno zmuszać mieszkańców prowincyj południowych do płacenia olbrzymich sum za tak niezbędny przedmiot, jak opał, dlatego, że w słowniku teoryj ekonomicznych istnieje pojęcie *protekcyonizm*, chciwie przyjęte przez wszystkich, którzy chcą gromadzić kapitały kosztem klasy pracującej. Latem nie daje się to jeszcze tak bardzo dotkliwie odczuć. Ale co będzie w zimie? Czy znowu będziemy potakiwać wszystkim petycyom „przemysłowym,“ aby znowu na prowincye nasze ściągnąć formalny głód węglowy z najzgubniejszem jego następstwem?“

PROŚBA ROLNIKÓW PRUSKICH.

Niedawno deputowany sejmu niemieckiego, hr. Mirbach, zwrócił się do kanclerza z prośbą w imieniu rolników wschodnich prowincyj pruskich. Powodem tego są nieustanne skargi na brak robotników wiejskich na znacznych przestrzeniach państwa niemieckiego, szczególnie zaś we wschodnich częściach Prus, gdzie podobno istnieje tak wielki brak siły roboczej, że prowadzenie gospodarki rolnej jest ogromnie uciążliwe, nie mówiąc już o jej rozwoju. Taki stan rzeczy jest wynikiem prawodawstwa ekonomicznego, które w ciągu ostatnich lat dziesięciu szczerze sprzyjało nagromadzeniu kapitałów w handlu i różnych gałęziach przemysłu, pozostawiając jednocześnie rolnictwo bez wszelkiej obrony przed współzawodnictwem obcych stron. Wpływa tu także w części system waluty. Wschodnie prowincye pruskie cierpią bardzo skutkiem nierównomierności cen we wschodniej i zachodniej części Niemiec. Prowincye przeważnie rolnicze straciły wszelką możność płacenia robotnikom w takim stosunku, w jakim płacą im w zachodnich i południowych Niemczech. Z tego powodu ludność robocza ze Szląska, Pomorza i Prus wschodnich bezustannie podąża na południe i zachód.

Przedstawiwszy takie powody, rolnicy pruscy proszą Bismarka, aby jako środki wstępne do zmiany tak niekorzystnego stanu rzeczy, polecił zbieranie dokładnych szczegółów statystycznych według następujących pytań: 1) Z jakich części Niemiec, w których miesiącach i w jakich rozmiarach odbywa się wędrówka robotników? 2) Dokąd się robotnicy udają i jakie obierają gałęzie przemysłu? 3) Jaką płacę otrzymują? 4) Jakie są przedsiębrane środki w interesie dobrobytu i moralności takich peryodycznie przybywających i odchodzących robotników? 5) Co dotąd zrobiono dla kontroli agentów pośredniczących w najmie robotników i czy są pociągano do odpowiedzialności osoby, podburzające robotników do zrywania kontraktów?

Jak widzimy, pobudką tej petycyi było poprawienie osobistych interesów rolników. Czy po zebraniu szczegółowych odpowiedzi na powyższych pięć pytań będzie uwzględnione położenie robotników, trudno coś stanowczego dzisiaj powiedzieć. Środki administracyjne, jak np. krępowanie swobody ruchu klas pracujących, albo otoczenie ich pewnemi ograniczeniami w prowincyach obcych, nie przyniesie pomyślnego rezultatu dla wytwórców rolnych. Odpowiednia zaś płaca na miejscu, utworzenie specyalnych instytucyj itp., mogących zabezpieczyć byt klasy pracującej, najlepiej może rozwiązać całą sprawę. Gdyby pruscy posiadacze ziemscy zbiorowo więcej dbali o dobro miejscowych robotników, nie potrzeba byłoby się oddawać pod protekcyę kanclerską.

Drogomir.

BADANIA NAUKOWE.

PRACE W ZAKRESIE RELIGII PORÓWNAWCZEJ.

I.

Ktokolwiek poświęcił nieco więcej czasu badaniom nad dziejami kultury ludzkiej, wie doskonale, że poszukiwania w dziedzinie początków i rozwoju pojęć religijnych, należą bezwarunkowo do bardziej uprzywilejowanych i uprawianych. Literatura, ist-

niejąca w tej mierze, jest niezmiernie obfita. Ażeby ją posiąść jako tako gruntownie, przytem zapoznać się z historyczną stroną przedmiotu, tj. oddzielnymi prądami naukowymi, które kolejno panowały w odnośnem piśmiennictwie, na to potrzeba specyalnych studyów i zupełnego oddania się przedmiotowi. Z pewnym naciskiem podnosimy ten stan rzeczy, dla uniknięcia możliwych nieporozumień z powodu niniejszego artykułu. Bierzemy pióro do ręki, ażeby pomówić o pierwszym tomie *Zasad socyologii* *) Spencera, który przez autora został poświęcony zbadaniu rodowodu religii pierwotnej, dzikiej. Chcielibyśmy wskazać wydatne rysy doktryny angielskiego filozofa, jej rozwój w dalszych rękach, znaczenie historyczne i słabe strony. Lecz, jak rzekliśmy, dla należytego wywiązania się z tej czynności trzeba być specyalistą. Zastrzeżenie to wskazuje, że nasza krótka rozprawa, jakkolwiek w ogólnym zarysie prawdopodobnie skreśli jako tako położenie rzeczy, w tym lub innym szczególe może niewystarczająco wyzyskać istniejący już materyał lub bez wzmianki pozostawić jakiś świeży pogląd.

Zanim jednak przystąpimy do wykładu i krytyki teoryi Spencerowskiej, musimy zatrzymać się nieco nad rozwojem odnośnej sfery wśród dziejów kultury ludzkiej. Naturalnie, mamy tu, jak w obrębie każdej innej nauki, do czynienia z bezustannem rozszerzaniem i pogłębianiem używanej metody i wytkniętych celów. Pierwsza szkoła naukowa, która wybiegła po za proste powtarzanie i gołe zbieranie anegdot mitologicznych i przystąpiła do prób wyjaśnienia początków tych opowieści, oparła się na metodzie porównawczej, lecz w nader ciasnych szrankach, bo uczyniła to jedynie w zakresie szczepu aryjskiego. Wychodziła ona z danych lingwistyki aryjskiej. Za pomocą odpowiednich zestawień pomiędzy oddzielnymi językami, należącemi do aryjskiej grupy językowej, usiłowała odkryć źródłosłowy i pierwotne znaczenie nazw, dawanych bóstwom i na tej podstawie wytłomaczyć odpowiednie mity. Wyszukiwała np. lingwistyczne źródła dla greckiego Zeusa i rzymskiego Jowisza i znajdowała, że nazwy te pochodzą od tego samego pierwiastku, co dyaus — słowo używano dla oznaczenia nieba w sanskrycie. Rozumie się, z tego zbliżenia wyciągała odpowiednie wnioski, mianowicie, iż kult Zeusa i Jowisza jest kultem upostaciowanego nieba. Nie będziemy w tej chwili rozwodzić się nad wygórowaną jednostronnością tej doktryny, dowodzącej, że w wszelkim micie mamy sprawę z zamaskowanem przedstawieniem procesów meteorologicznych — huraganów, pierwszych dni wiosny, świtań i zmierzchań itp., ani z wynikającemi z tego powodu błędnemi zapatrywaniami co do rodowodu podań religijnych. Zauważymy tylko, że uprawniała jedynie lingwistów do poszukiwań w odnośnej dziedzinie i że w micie oraz jego odczytywaniu widziała najwyższe zadanie nauki. Porównawcze badania nad religią pierwotną sprowadzono w ten sposób wyłącznie do studyów nad mitologią aryjską. Kuhn w Niemczech i Max Müller w Anglii są głównymi przedstawicielami tego kierunku. Od tej szkoły, która zwała się porównawczą chyba dlatego, że nic nie porównywała po za obrębem jednego szczepu ludzkości — jak dowcipnie zauważa pewien badacz — przechodzimy do innej, która odrazu przekracza szczupłe pole pojedynczej rodziny lingwistycznej i usiłuje oprzeć poszukiwania na szerokim materyale etnograficznym ze szczególnem uwzględnieniem najniższych i najbardziej upośledzonych szczepów rodu ludzkiego. Wśród tego kierunku porównawczo-etnograficznego w rzeczywistem znaczeniu słowa, przedewszystkiem winniśmy wspomnieć o doktrynie Spencerowskiej — zresztą wyłącznie ze stanowiska metodologicznego, bo z zawartością ideową zapoznamy się dopiero nieco później. Wytłomaczenie mitów dla Spencera jest zadaniem podrzędnem, wyszukanie rodowodu pojęć i systemów obrzędowo-religijnych — najgłówniejszem. Dane lingwistyki zostały pominięte, a przynajmniej bardzo nizko ocenione. Natomiast stronie obrzędowej i kultowi przydano bardzo wielkie znaczenie dla skreślenia i odnalezienia pierwocin religijnych. Metodologiczne to postępowanie, nieświadomie używane przez socyologa angielskiego, zostało jasno postawione dopiero przez Lipperta. Według badacza niemieckiego, jedynie obrządki i ceremonie kultu mogą dać należyte pojęcie o pierwotnych fazach religii; mity bowiem podlegają bezustannemu przekształcaniu i fałszowaniu. Usiłuje on to uwidocznić na przykładzie, zaczerpniętym ze starożytnego Egiptu. W zaraniu historycznem w dolinie Nilu istniało prawdopodobnie mnóstwo niezależnych a drobnych ustrojów autonomicznych gmin rolnych. Każda bytowała samodzielnie, w wrogim stosunku do innych. Ludność czciła zmarłych przodków, pochowanych na terytoryum gminnem, zwłaszcza zaś dalekiego praojca, w którym widziała opiekuna umierających i któremu dawała pospolite miano „Ozyrysa,“ t. j. „pana,“ „opiekuna.“ Naturalnie każda z tych niewielkich społeczności mniemała, że taki swojski Ozyrys spoczywa pochowany na jej gruntach. Zczasem te niezależne ustroje poczęły się zlewać w jedno większe społeczeństwo, ogólno-egipskie. Równolegle z tą sprawą jednoczenia odbywało się całkowanie pojedynczych Ozyrysów miejscowych w ogólno-narodowego. Atoli każda miejscowość zachowuje podanie o posiadaniu trupa Ozyrysa w swym obrębie. Cóż z tego wynika? Wszakże istnieje jeden Ozyrys, lecz mimo to pochowany w wielkiem mnóstwie okolic? Jest to rażąca sprzeczność. Wyobraźnia ludowa usiłuje ją rozwiązać i stwarza odpowiednie mity. Ozyrys był jeden, lecz w walce z wrogiem rozsiekany na tysiące cząsteczek, z których każda jest pogrzebana w odmiennem miejscu. Lecz któż to uczynił? Naturalnie, że bóstwo opiekuńcze wrogich gmin było sprawcą tego okrutnego postępku. I tak dalej. Słowem, rozwój społeczny wciąż wysnuwa stosunki, które tworzą sprzeczność w istniejących mitach i wywołują w ciągu dalszym dążność usunięcia jej przez stosowne przekształcenia samego podania. Wobec tego — zdaniem Lipperta — znaczenie mitologii dla odcyfrowania przeszłości religijnej jest niemal żadne. Mit o Ozyrysie w ostatecznem ukształtowaniu może przyjąć taki wygląd, że nadaje się do podsunięcia poreń jakiegoś peryodycznego przejawu w przyrodzie — np. wylewu Nilu, wówczas kiedy faktycznie wywiązał się on z kultu zmarłych przodków. Tymczasem strona obrzędowa nigdy nie zawodzi w podobnej mierze. Jahwizm mógł przybrać bardzo rozwiniętą postać, zgoła nieprzypominającą ze stanowiska mitologicznego swych pierwocin rodowodowych, lecz bliższe wejrzenie w świątynię jeruzalemską, całopalenia, ofiary codzienne itd. wykazuje, że mamy tutaj przed sobą nadzwyczaj olbrzymi grobowiec w wymaganymi przez zmarłego datkami. Wogóle, szkoła Spencerowska na plan pierwszy zamiast mitów podjęła obrządki, mitologię zaś samą zastąpiła przez poszukiwanie w zakresie kultu. Lippertowi, którego należy bezwarunkowo uważać za głównego i najwykształceńszego przedstawiciela tego kierunku, nie chodzi prawie wcale o wykrycie rodowodu mitów, lecz o skreślenie rozwoju samej religii. Atoli i to stanowisko już należy poniekąd do przeszłości. Przyszłość niesie z sobą coś szerszego, o ile można wnioskować z poszczególnych dążności, które dają się spostrzedz wśród tak zwanego folklore'u. Sama nieokreśloność tej nazwy daje dużo do myślenia. Istotnie, jakkolwiek w każdej chwili wiadomo, co zaliczyć do folklore'u, niepodobna wszakże wyznaczyć jego granic. I podania ludowe, i przesądy, zwyczaje i obrzędy, zabawy i zagadki, i in., wszystko rzuca się do tego zbiornika. W tem poplątaniu następuje odpowiednie zestawienie różnych faktów i okazuje się, iż zwyczaj lub obrządek jest nie do zrozumienia bez przesądu, ten zaś bez czegoś jeszcze innego. Dzięki temu metoda doznaje wielkiego rozszerzenia, trudno jednakże jeszcze o niej mówić w obecnym stanie nauki. Na dzisiaj folklorzyści zostali zupełnie pochłonięci przez roboty przygotowawcze nagromadzenia dostatecznego materyału. To zadanie pośrednie, poniekąd przeprowadzenia drogi do dalszego pochodu, zajęło wszystkie siły i odsunęło na plan wtóry cele dalsze, ostateczne. Przy zbieraniu i znoszeniu cegiełek zapomniano o samym budynku. Lecz mimo to główne a ostateczne zdanie jest wypowiadane od czasu do czasu z zupełną świadomością. Jest to już nie śledzenie przyczyn, pod działaniem których rozwijały się mity, ani szukanie rodowodu pojęć i kultów religijnych, ale kreślenie postępu pierwotnej umysłowości ludzkiej. „Mitologia wśród dzikich jest zarazem wiedzą stanu dzikiego, posiada odpowiedzi na wszelkie zagadnienia w tej mierze i udziela je pod postacią opowieści. Jest to środek pierwotny zaspokojenia dzikiej ciekawości naukowej i sposób wytłomaczenia świata, wśród którego ludzie się poruszają“ (Andrew Lang). Z tego punktu widzenia, strona mitologiczna jest szczególnego rodzaju pojmowaniem przyrody, wysnutem stosownie do zasobów umysłowości ludzkiej; kult — środkiem praktycznym, ukształtowanym odpowiednio do powyższego pojmowania, a mającym na celu zapewnienie człowiekowi powodzenia w życiu itd. Mity, przesądy, wierzenia, obrządki, są przeto bądź teoretycznymi, bądź praktycznymi wyjawami pewnego stanu umysłowości, podległymi powolnemu rozwojowi w miarę postępu wiedzy. Jak u Spencera mitologia została pochłonięta przez dzieje systemów religijnych, podobnie same systemy religijne u folklorzystów są wcielone do szerszego obszaru — studyów nad każdorazowem pojmowaniem przyrody.

Badanie mitów, kreślenie dziejów systemów religijnych w połączeniu z kultem i wreszcie próby znaczenia rozwoju systemów kosmiczno-filozoficznego pojmowania przyrody, takiemi są trzy wielkie fazy w dziejach odnośnej literatury. Doktrynie Spencerowskiej przypadła w udziale znaczna rola w rozpoczęciu drugiej epoki, kiedy punkt ciężkości przeniesiono z mitów na obrządki kultu. W następnym numerze *Prawdy* zwrócimy się do przedstawienia zawartości pierwszego tomu *Sozyologii*. Tymczasem zaś, dla scharakteryzowania sprowadzonego przez nią postępu w nauce, musimy streścić pokrótce teorye mitologów-lingwistów. Wiemy już, jaką drogą poszukiwali oni rozwiązania — przez porównywanie nazw bogów ze znaczeniem pierwotnem słów praaryjskich. Atena w języku greckim jest imieniem bogini, lecz nic nadto nie oznacza; tymczasem niby pokrewne słowo w języku sanskryckim: „Ahana“ oznacza jutrzenkę. Wnioskowano stąd, że wszystkie mity o Atenie są tylko człekokształtnem przedstawieniem świtania. Ale jakim sposobem człowiek doszedł do tego, że mógł ułożyć opowiadanie o zwykłych zjawiskach przyrody w takiej formie, że potem zapomniał istotnego przenośnego znaczenia i uczynił z nich mity człekokształtnego pokroju? Bo — że zatrzymamy się nad tłomaczeniem dawanem przez Maxa Müllera — mnóstwo pojęć oderwanych pierwiastkowo posiadało znamię wielkiej zmysłowości. „W językach starodawnych wszystkie słowa, jak dzień, noc, ziemia, wiosna, jutrzenka, miały z konieczności końcówkę rodzajową... Póki ludzie odczuwali w mo-

*) Przekład polski. Warszawa, 1889.

wie pierwotne znaczenie słów, niepodobna było mówić o poranku lub wieczorze, wiośnie lub zimie, bez przydania tym pojęciom charakteru osobowego, czynnego, płciowego.“ Pierwotny pra-aryjczyk wyrażał się o słońcu, że idzie za jutrzenką, jako o czemś męzkiem, goniącem kobiecy żywioł, zawarty w zorzy. Z czasem zapomniał o tem pierwotnem rozumieniu i ze zjawiska: „słońce idzie za jutrzenką“ zrobił mit, że „Febus ugania się za Dafną...“ Słowem, mitologia zrodziła się z pewnej choroby umysłowej lub raczej językowej, jak szyderczo powiada Andrew Lang. Pierwiastkowo bowiem człowiek należycie przedstawiał sobie bieg przyrody i rozumiał swoją mowę, lecz z opowiadań o przyrodzie uczynił podanie o bogach. Pod wpływem powagi Kuhna i in. jęto tłomaczyć wszelkie opowieści mitologiczne w podobny sposób, naturalnie z najwyższem naciąganiem porównań lingwistycznych, krańcową jednostronnością, która u niektórych przechodziła w tłomaczenie wszystkiego przez wyprowadzenie na scenę jedynie huraganów, u innych — tylko zjawisk świtania lub zmierzchu... Nawet słowiańscy królewicze-oswobodziciele, zaczarowane królewny i baby-jędze zamienione zostały na upostaciowane pierwiastki przyrody. Królewicz oswobodziciel — to słońce wiosenne, budzące śpiącą w całunie zimowym ziemię — zaczarowaną królewnę...

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad główną istotą doktryny mitologicznej, tłomaczącej odnośne podania, jako zobrazowane przedstawienia zjawisk przyrody, co do którego człowiek posiadał pierwotnie zupełnie jasną świadomość i dopiero później doznał pewnego „zaćmienia.“ Pomimo całej swej jednostronności i naciągań, trzymała się ona mocno w nauce. Spencer należy do pierwszych, którzy zadali silniejszy cios jej panowaniu wraz z odpowiednią metodą lingwistyczną porównań w obrębie szczepu aryjskiego. Poniekąd zwrócił on oręż krytyki bezpośrednio — przez wykazanie braku wszelkiego faktycznego gruntu dla snucia podobnej naukowej poezyi, częściowo znowu uczynił w sposób pośredni — przez postawienie teoryi sobowtórów. Lecz natomiast zachował całą krańcowość krytykowanego kierunku. Jak ten ostatni usiłował wszelki mit przedstawić jako zobrazowanie zjawisk przyrody, tak samo Spencer jął się wykazania, że źródło wszelkiego kultu i wszelkiego mitu spoczywa na wierze w sobowtórów. Przejdziemy do niego.

Lud. Krz.

KILKA UWAG O SAMOBÓJSTWIE

pod względem psychologicznym.

III.

Samobójstwo, będąc pewnym rodzajem czynności ludzkiej, bywa, jak wszelka wogóle czynność, trojakie: a) dowolne, dokonywane po namyśle i rozwadze; b) mimowolne, czyli popędowe, któremu towarzyszy świadomość działania i c) bezwiedne. We wszystkich tych wypadkach, pomimo bardzo ważnych różnic, jakie między niemi zachodzą, jest ono koniecznem, jakkolwiek konieczność samobójstwa rozmyślnego jest wyrozumowaną, kiedy tymczasem w mimowolnych, tak świadomych, jak i bezwiednych, jest czysto automatyczną.

a) Życie ludzkie jest ciągłą, nigdy nieustającą walką o byt — walką z siłami przyrody i z dążnościami naszych bliźnich, warunkującemi, ograniczającemi, a nierzadko nawet wprost paraliżującemi nasze pragnienia, zamiary i dążności. Chodzi w niej nietylko o zabezpieczenie się od wrogich sił przyrody, ale i o ich spożytkowanie, nietylko o rozbrojenie niechęci ludzkiej i uprzedzenia, ale i o pozyskanie sympatyi i pomocy w osiągnięciu celów, jakie wykreślamy dla swego życia.

Zwykłą pobudką działania ludzkiego są potrzeby fizyczne i moralne tak wrodzone, jak i nabyte. Jaka jest norma tych potrzeb? Odpowiedzieć na to niepodobna. Różną jest ona dla różnych ludzi, stosownie do ich położenia w świecie, wykształcenia, zawodu, tudzież wrodzonych usposobień i nabytych nałogów. W każdym razie ogólny stan społeczeństwa pod względem oświaty, ekonomiczno-prawnego rozwoju i umoralnienia wywiera stanowczy wpływ na unormowanie potrzeb ludzkich, podporządkowując pragnienia jednostkowe wymaganiom dobra powszechnego, skierowując usiłowania pojedyncze ku zadaniom ogólnego pożytku. W społeczeństwie bardziej rozwiniętem, których stosunki są nader złożone i zawiłe, o ile z jednej strony potrzeby ludzkie bywają liczniejsze i naglejsze, o tyle z drugiej — środki do ich zaspokojenia z większą nabywają się trudnością. To też w miarę jak społeczeństwo coraz bardziej rozwija się, walka o byt staje się cięższą i zapamiętalszą — i zwycięzcami z niej wychodzą nie zawsze zacniejsi, ale silniejsi i przebieglejsi. Do wytrwania w niej, pomimo wszelkich niepowodzeń i klęsk, niezbędną jest pewna suma energii żywotnej, któraby nie dała się spożyć cierpieniami, czy to fizycznemi, czy moralnemi. Jakkolwiek źródłem tej energii są siły fizyczne, czynne w organizmie ludzkim, głównym atoli warunkiem ich żywotności są uczucia wyższe, miarkujące samolubne chęci i nadające naszym usiłowaniom kierunek szlachetniejszy od dążności, których ostatecznym celem jest szczęście osobiste. Kto w swem sercu takich uczuć nie znajduje, kto nic i nikogo nie ukochał w życiu i za jedyny cel swych trosk i zabiegów stawia osobiste wyniesienie się, nabycie bogactw lub zaspokojenie jakiejś namiętności, ten w ciężkich losu doświadczeniach czuje się tak złamanym i przygnębionym, tak z sił wyczerpanym, że nie stać go nawet na bierną walkę z życiem. Jakoż największa część samobójców, pozbawiających się dobrowolnie życia, należy do tego rodzaju ludzi.

Człowiek, chociażby najcięższą złożony chorobą i pozbawiony wszelkiej nadziei wyzdrowienia, jeżeli sprzągł swe życie silnymi węzłami z życiem innych, ze szczęściem swych bliźnich, z powodzeniem i klęskami społecznemi — znajdzie w swem sercu dość jeszcze pobudek, które go będą podtrzymywać i dodawać sił do znoszenia smutnego losu. Przeciwnie ten, dla którego życie tyle tylko ma wartości, o ile dostarcza mu ono zmysłowych przyjemności, czując się dotkniętym nieuleczalną chorobą, pozbawiającą go upragnionych rozkoszy, może dojść do takiego zniechęcenia i zniecierpliwienia, że ono stanie się dlań wstrętnem. Kto z wypieszczonemi w samolubnej piersi nadziejami tak silnie skojarzył myśl swą o przyszłości, że ta bez nich przedstawia się mu jak pustynia martwa bez cienia ochłody, bez odgłosu życia, ten po doznanym zawodzie, burzącym cały gmach jego marzeń i rozwiewającym wszystkie jego nadzieje, uczuje się tak nieszczęśliwym i w swem nieszczęściu tak osamotnionym, że sama świadomość swego istnienia będzie dlań nieznośną. Bywa wprawdzie czasami, że człowiek najszlachetniejszy, najmniej samolubnemi kierujący się chęciami, ale z natury wrażliwy i zniechęcający się, napotykając w swych dążnościach i przedsięwzięciach ciągłe zawady i trudności, widząc, jak jego siły zużywają się w podjazdowej walce, jak całe życie marnuje się w bezowocnych wysiłkach, nabiera w końcu wiary w ciążący nad sobą fatalizm i straciwszy wszelką nadzieję zmiany swego losu, daje za wygraną wszystkiemu i przeprowadza ostateczny rachunek z życiem. Wypadek ten atoli nie stanowi wyjątku od reguły, gdyż i w nim główną pobudką samobójstwa są względy czysto osobiste, pomijające ogólne, które pozwalają być użytecznym na każdem stanowisku, w najciaśniejszym zakresie. Człowiek z ugruntowanemi uczuciami altruistycznemi, z głęboką miłością kraju i ludzkości, jeżeli zabija się dobrowolnie, to chyba wtedy, gdy życie, skutkiem zbiegu dziwnych okoliczności, staje się ciężarem dla jego bliskich lub dla społeczeństwa, albo też, gdy uzna, że jego śmierć jest konieczną ofiarą dla dobra ogólnego. Przykładów ostatniego rodzaju samobójstwa dostarczają nam dzieje tak starożytne, jak i nowszych czasów.

Bądź co bądź, niepodobna zaprzeczyć, że jakkolwiek samobójstwo dowolne jest czynem przeważnie egoistycznym, świadczy ono przecież o pewnem uszlachetnieniu osobników, którzy się go dopuszczają, o pewnym stopniu umoralnienia ich uczuć. Człowiek z gruntu samolubny, pozbawiony wszelkich zasad, idąc na przebój z życiem, gdy widzi się zagrożony nędzą, niepowodzeniem, ucieknie się raczej do podstępu, oszustwa, zbrodni, niźli do samobójstwa; zawiedziony w miłości, prędzej zamorduje swą kochankę, niż siebie; zmuszony rozstać się z nadziejami, które rzeczywistość rozprasza nieubłaganie, znienawidzi świat i ludzi — i w samej zemście nad nim będzie szukał dla siebie pociechy i zadowolenia.

Dokonywane w powyższych okolicznościach samobójstwo spokojnie i z namysłem, po rozważeniu wszystkiego, co za niem i przeciwko niemu przemawia, jest dowolnem, ponieważ jest skutkiem postanowienia, na które żaden zewnętrzny przymus nie wpływał. Samo to atoli postanowienie ze względu na pobudki, które je spowodowały, jest równie koniecznem, jak koniecznemi są wnioski logiczne w odniesieniu do założeń, z których zostały wyprowadzone. Jest ono wypadkiem wyboru między życiem, które same tylko cierpienia przynosi i w znużonej duszy budzi wstręt i pragnienie wypoczynku, a śmiercią, która swą tajemniczością przeraża wprawdzie, ale za to uwalnia raz na zawsze od wszelkich niepokojów i dolegliwości. Z dwojga złego, które ma człowiek przed sobą, wybiera on zwyle to, które jest mniejszem dla niego, mniej przykrem i już przez to samo bardziej pożądanem. Ulega on tu koniecznemu prawu swej natury, dla której to tylko jest pożądanem, co jest przyjemnem, a w razie nieuniknionego wyboru to, co mniej przykrem. Doznawane zaś przez niego rozkosze i cierpienia zależą nie od samych tylko warunków zmysłowej wrażliwości, ale i od natury uczuć, jakie go ożywiają, od wrodzonych usposobień, nabytych nałogów i panujących nad nim namiętności. Człowiek, który zdołał zaszczepić w swej duszy uczucia altruistyczne, czuje naturalny wstręt do wszystkiego, co tym uczuciom jest przeciwne i mimowolna nawet ich obraza sprawia mu przykrość. Na tem właśnie polega istota sumienia ludzkiego. Kto np. przez lekkomyślność stanął w kolizyi z prawem lub opinią publiczną i niema przed sobą innego wyboru, jak tylko albo życie pełne upokorzeń i hańby, albo śmierć, ta ostatnia w tym tylko wypadku będzie dlań bardziej pożądaną, skoro uczucie honoru, osobistej godności będą w nim tak silnie rozwinięte, że uprzytomnienie poniżenia, jakie go oczekuje, będzie dla niego tak przykrem i wstrętnem, że wobec tego sama śmierć wyda mu się przyjemniejszą.

Odpowiedzialność moralna, jaka spada na samobójcę, pozbawiającego się dobrowolnie życia, dotyczy nie jego wyboru, postanowienia, a tem mniej ostatecznego czynu, które ze względu na jego uczucia i ogólny stan duszy nie mogły być innemi; ale właściwie samego uczucia i owego stanu duszy, które są jedyną przyczyną jego rozpaczliwego kroku, a które powstały w nim z własnej jego winy, jako proste następstwo tego, że mając tylko siebie i własne szczęście na względzie, nie ukochał całą duszą nic i nikogo, nie zespolił swych uczuć

z wyższemi ideami, któreby, rozszerzając zakres jego pragnień i nastręczając wznioślejsze idee życiu, uczyniły go bardziej wytrwałym w zawodach i niepowodzeniach, bardziej zahartowanym na cierpienia. W każdym razie, jakakolwiek wina ciąży na samobójcy, nie zasługuje on na bezwzględne potępienie. Nie tyle on jest złym człowiekiem, ile słabym, a przedewszystkiem nieszczęśliwym. Nieszczęście zaś ma także swoje prawa. Kto wie, z jakiemi on usposobieniami i skłonnościami przyszedł na świat i jakie okoliczności towarzyszyły jego wczesnemu rozwojowi, jakim zasobem sił i energii zaopatrzyła go przyroda na walkę!? Zresztą, czy sam on siebie za swe winy nie ukarał surowiej, niżby to najsurowsze uczynić mogły prawa!?.. Powie kto może, że samobójca pozbawia się tego, co dlań niema już żadnej wartości. Uwaga ta jest słuszną w odniesieniu do niektórych wypadków, ale w ogólnem zastosowaniu jest zgoła fałszywą. Samobójca ceni życie, jak każdy inny śmiertelnik, jeżeli zaś przenosi nad nie śmierć, to dlatego, że w tych warunkach, w jakich mu się przedstawia, życie jest dla niego niemożliwem.

b) Przyczyną samobójstwa dowolnego jest zwątpienie, upadek wiary w siebie samego wobec cierpień i przeciwności, słowem, wyczerpanie energii żywotnej, koniecznej do podtrzymania walki o byt. Inaczej ma się rzecz z samobójstwem mimowolnem świadomem. W tym ostatnim wypadku zachodzi nie brak energii, nie wyczerpanie sił moralnych, ale chorobliwy stan duszy, mający najczęściej swe źródło w warunkach organizacyi, albo wychowania i polegający na tem, że cały niemal zasób rozporządzalnej energii bywa pochłonięty przez jedno jakieś uczucie lub wyobrażenie, wskutek czego wszystkie inne czynności duszy są niejako sparaliżowane i niezdolne oprzeć się ogólnemu usposobieniu, które też coraz bardziej wzrasta i podbija pod swe panowanie rozum i wolę.

Energia żywotna, istniejąca w organizmie ludzkim, zależąc tak od warunków ustroju cielesnego, jako też od jego odżywiania, jest ilościowo ograniczoną, a więc dającą się wyczerpać. Pewna jej część idzie na sprawy żywotne, pozostała reszta, tem większa, im mniej jej spotrzebowano na czynności fizyczne, może być użytą na sprawy duchowe — na myślenie, czucie i działanie celowe. Reszta owa, nagromadzona w układzie nerwowym, znajduje się w stanie mniejszego lub większego napięcia i wyzwala się w jakimkolwiekbądź kierunku za odpowiedniem potrąceniem, którem bywa zwykle wrażenie bądź zewnętrzne, bądź wewnętrzne, albo też wyobrażenie. Przy silnem napięciu energii wystarcza najsłabszy bodziec do wyzwolenia ogromnej jej ilości, przy małem bodziec musi być znacznie silniejszym, ażeby mógł wywołać ten sam skutek. Energia, wyzwolona w jakimkolwiek kierunku, musi być w nim zużytą za pomocą odpowiednich mu czynności, takich np. jak praca umysłowa albo działanie, mające na celu zaspokojenie uczuć.

(D. n.).

Władysław Kozłowski.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE

Postęp w przeciągu stulecia. W *Czasopiśmie paryskiego Towarzystwa statystycznego* niejaki p. Neymarck pomieścił nader ciekawą pracę, rozpatrującą postęp dokonany przez Francyę w przeciągu lat 1789—1889 pod względem finansowym, przemysłowym, handlowym itd. Niepodobna przytaczać wszystkich cyfr podawanych przezeń, jakkolwiek zasługiwałyby na uwagę. Z tego powodu zatrzymamy się chociażby nad niektóremi.

Zaczniemy od środków, ułatwiających stosunki pomiędzy ludźmi. A więc dowiadujemy się, że dla przedostania się z Marsylii do Paryża potrzeba było podróżować 13 dni dyliżansem, z Tuluzy — 8, z Bordeaux — 5, z Lyonu — $4\frac{1}{2}$ itd. Odpowiednio koszta podróży wynosiły 157, 135, 124 i 88 liwrów. Dzisiaj można przebyć najdalsze z tych przestrzeni w ciągu doby za cenę niemal bajecznie niską w porównaniu z ówczesną. Podobnie drogo kosztowała korespondencya pocztowa. Zaludnienie dzisiejszych 8 miast około Paryża, posiadających każde więcej niż 100,000 mieszkańców a pospołu liczących 1,703 tysiące, przed stu laty nie wynosiło nawet trzeciej części tego; co zaś do Paryża ludność jego podniosła się z 600 do 2,344 tysięcy, całej wreszcie Francyi — z 27 do 38 milionów. Kasy oszczędności były nieznane, dziś w nich znajduje się $2\frac{1}{2}$ miliona franków; podobnie rzeczy stoją z towarzystwami ubezpieczającemi życie. O towarzystwach wzajemnej pomocy nie słyszano, obecnie liczba ich doszła do 7,743. W roku 1810 w liceach liczono 9,310, w kolegiach zaś 22,171 wychowańców, tymczasem dzisiaj mamy odpowiednio $49\frac{1}{2}$ i prawie 40 tysięcy. Było wtedy pod zbożem 4. mil. hektarów, teraz jest 7; produkcya z pojedynczego hektaru podniosła się przeszło o 100%, ogólna zaś ilość zboża wzrosła za okres 1815 — 1881 z 40 do 107 milionów hektolitrów. Dochód z posiadłości gruntowej z 1,440 mil. franków podskoczył na 2,649, cena hektaru z 500 na 1,700 franków, dochód przeciętny rodziny włościańskiej z 200 na 800 franków, lubo liczba właścicieli ziemskich niemal podwoiła się. Podobny obraz przedstawia przemysł i handel. Produkcya a raczej eksploatacya rud żelaznych wzrosła z 50 do 777 tysięcy tonn, obrót handlowy z 1,019 do 9,361 mil. franków. Postęp najlepiej uwidocznia się w dochodach państwowych. Budżet *brutto* wynosił wtedy 691 milionów franków i swoją uciążliwością bardzo przyczynił się do wywołania rewolucyi, obecnie zaś wzrósł do 3,011 milionów. Wreszcie cały dochód narodowy podnosi się z 3—5 do 30—35 miliardów, wartość zaś ruchomości z 200—300 milionów do 70—80 miliardów franków.

Liczby zaiste wymowne. Autor w uniesieniu spostrzega na tym obrazie zaledwie jedną tylko plamkę, militaryzm. „Czyż i wiek przyszły nie ujrzy końca tych rujnujących uzbrojeń? Wszak ludy mają coś lepszego do roboty, aniżeli wzajemnie rozszarpywać się i gryźć. Co do nas, jesteśmy tego przekonania, iż nadejdą czasy, kiedy zachowanie pokoju z podobną siłą narzucone będzie ludom cywilizowanym jak bezustanna wojna — barbarzyńcom.“ Autor nie spostrzega innej plamy, która zowie się najmictwem. Zaspakaja się on wskazówką, że cena 4-funtowego chleba wynosiła w r. 1800 około 90 centimów, dziś zaś tylko 85, płaca zaś robotnika rolnego podskoczyła z 60 centimów na 250 i zapomina zupełnie o moralnych skutkach tego systemu ekonomicznego oraz o przepaści majątkowej, która wzrasta pomiędzy klasami społecznemi bez żadnego pomostu krom nienawiści i zazdrości. Szkoda także, że nie przytoczył cyfr, jak ów ogromny przyrost bogactw społecznych został podzielony pomiędzy inne klasy.

Lekarze — misyonarzami. We francuskiej Akademii medycznej rozprawiano ostatnimi czasy o znaczeniu lekarzy w szerzeniu cywilizacyi europejskiej. Rozprawy wywołało sprawozdanie Roya. Za punkt oparcia służyły skutki, otrzymane przez protestantów amerykańskich w Chinach, którzy powołali do życia zupełnie nowy typ misyj — szpitale. Po długim oporze medycyna odniosła zwycięztwo moralne wśród różnych warstw społeczeństwa chińskiego. Naukę tę uznano zupełnie. Nastały już czasy, kiedy chińczycy biorą się do europejskiej nauki medycznej i stają się pionerami postępu. To samo można zauważyć w Japonii. W Algierze przedstawiciele medycyny pierwsi zostali z pośród europejczyków przyjęci przychylnie przez ludność miejscową. Zwłaszcza chirurgia, dzięki swemu postępowi technicznemu, wszędzie zyskuje natychmiastowo uznanie. Przed nią otwierają się najbardziej fanatyczne i nieprzychylne dla europejczyków kraje. Słowem, lekarz jest postacią, posiadającą największą łatwość przenikania do krain małoznanych. Pod tym względem posiada on wszelką wyższość nad misyonarzem duchownym, już nie mówiąc o przynoszonym pożytku. Misyonarstwo religijne pochłonęło dotychczas ogrom funduszów — bez żadnego innego skutku. Wobec tego Roy rzuca zapytanie, czy nie lepiej byłoby zerwać z tradycyą misyj religijnych a natomiast wziąć się do medycznych? Stawia on projekt założenia Towarzystwa misyjno-lekarskiego, które podobnie wysyłałoby medyków w celach badania ludów i szerzenia cywilizacyi, jak czynią to różne związki misyjno-religijne w interesie bezpłatnego „zbawiania“ dusz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Józef Orłowski: *Rodzime dźwięki.* Nowy zbiór poezyi. Kraków, 1889.

Józef Rychter: *Ciernie i wawrzyny.* Zbiór powiastek historycznych. Kraków, 1889.

Jest to koniecznością każdej epoki piśmiennictwa, że pewną ilość fermentów ducha, ujętych formę poezyi, wyrzucać musi na śmietnisko literatury. Toną rokrocznie w fali zapomnienia tomy tego rodzaju poronionych płodów dziatwy Apollina, spotyka je bezlitośna, nierzadko gryząca krytyka, a mimo to los ten nie odstrasza pełnych zapału epigonów od stawania w szranki turniejowe, z których najczęściej wynoszą tylko trupów. Obdarzeni z natury wytrwałością, którym zimny podmuch nie wyziębił w tych zapasach ognia z piersi występują nierzadko ponownie do walki z uprzedzeniem, rzadziej jednak nierównie zdarza się, aby wznowione wysiłki uwieńczył pomyślniejszy wynik. W szczęśliwem tem położeniu znajduje się p. Orłowski. Po mniej udatnych dwóch zbiorach swoich poezyj ogłasza on obecnie trzeci. *Rodzime dźwięki* nie odbiegają zbyt daleko od prób poprzednich, wyróżniają się jednak od nich formą i myślą, tu i owdzie jaśniej przeświecającą. Jak w dawniejszych, tak i w obecnym zbiorze jedna zasadnicza występuje wada, mianowicie, że utwory p. O. nie są wstanie obudzić głębszego wrażenia. Przyczyną tego brak żywszej myśli przewodniej, którąby była wyrazem uczuć i pragnień ogółu. Próżnoby się silić na odszukanie w całej książce jednego obrazu silniejszego, któryby wskazywał dodatnie, lub ujemne strony życia, jednej głębszej uwagi budzącej iskrę brzemiennego czynem zapału. Myśli p. Orłowskiego obracają się wiecznie w kole jakichś nieuchwytnych pragnień, wzdycha on wiecznie za nieokreślonem jakiemś uczuciem, ciepłem w życiu, potrzebą łączności, dodaje otuchy do znoszenia ciężaru obowiązków — nigdzie jasno zasad i poglądów swych nie wypowiada. Jest to liryka refleksyi, zaprawna dydaktyzmem przy całym swym majestatycznym nastroju niezdolna pobudzić do poważniejszych rozmyślań. Jak z wiersza p. t. „Ojców spuścizna“ (str. 56) wnosić można, p. O. jest przeciwnikiem pozytywnego kierunku w nauce, twierdząc, że on „pragnie ludzi zmienić w automaty;“ temu dziwić się nie można

wobec tego, że autor widoczne siedlisko ducha upatrzył w sferach abstrakcyi i z jej wyżyn na sprawy życiowe spogląda. Z całego zbioru jedynie kilka satyrycznych drobiazgów, np. „Powódź wielkości,“ „Beczka soli“ — tętnią silniejszą nutą i w tym tylko kierunku przyznać by można pewien zadatek przyszłości ze strony autora. Powtórzona z poprzedniego wydania „Opowieść,“ oraz „Sonety lwowskie“ dopełniają całości *Rodzimych dźwięków*, które mimo stylowych zalet, ogólnem wrażeniem daleko odbiegają od dzisiejszych pojęć i wymagań estetycznych, stawianych poezyi.

Zapomniany już dawno rodzaj powiastki historycznej, którego uprawiaczami byli niegdyś Gorczyński, K. Wł. Wojcicki a ostatnio Kraszowski, podejmuje na nowo debiutant na niwie powieściowej p. Rychter w ozdobnie wydanym zbiorku nowel p. t. *Ciernie i wawrzyny*. Jest to cykl drobnych opowiadań ocierających się zlekka o rąbek dziejowy. Autor niema pretensyi odzwierciedlać ani epoki, ani też donioślejszych epizodów historycznych, chodzi mu — jak sam wyznaje — o „przedstawienie na tle historycznem działania osób, stworzenie charakterów, któreby wyrażały psychologiczną prawdę, wreszcie wywołanie artystycznego piękna.“ Historya posiada dla nas zawsze pewien dziwnie pociągający urok; stąd też i wszelkie prace belletrystyczne zyskują niesłychanie wiele na jej sąsiedztwie. Wyszło ono też w całej pełni na korzyść i nowelom p. Rychtera. Sześć obrazków, wskrzeszających kilka wybitniejszych chwil naszej przeszłości, złożyło się na całość zbiorku. Od epoki plemiennej walki pogańskich słowian z germanami do bliższych już czasów XVI stulecia przeprowadza nas autor nieśmiało po krużganku historyi, snadź bojąc się wkroczyć w mniej dostępne dla siebie podwoje samego gmachu. W szkicu „Zadatek słowianina“ ukazuje za mglistą dziesięciowiekową osłoną epizod walki dwóch wrogich sobie plemion, słowiańskiego i germańskiego — walki, która daleką jest od swego końca a w zmienionej formie z niemniejszą toczy się zaciekłością w obliczu XIX stulecia. W „Kolosach“ uprzytomnia pamięć niespożytej potęgi Bolesława Chrobrego i Kanuta duńskiego, w pięknie opowiedzianej legendzie „Kiszporg“ budzi wspomnienia gospodarki krzyżackiej i wstrząsających grozą zbrodni mistrzów i komturów zakonu.

Realniejszym kolorytem zabarwione są trzy następujące z kolei nowele: „Piękna kasztelanowa,“ „Idylla królewska“ i „Tatarskie wesele.“ Zarzucićby w nich można autorowi zbytnie rozlubowanie się w efektach melodramatycznych oraz nadmiar czułostkowości. Ta ostatnia występuje szczególniej w „Idylli królewskiej,“ opiewającej do przesytu już w literaturze wyzyskany romans Zygmunta Augusta z Barbarą Gasztołdową.

Zręczna i niepozbawiona wdzięku forma oraz poprawny język dodają wartości zbiorkowi, który w umyśle obudza bądź co bądź trwalsze a przyjemne wrażenia.

W. P.

Z NIEMIEC.

7 lipca.

Zwrot ku optymizmowi w etyce niemieckiej; dzieła Paulsena i Döringa. — Nowy realista niemiecki. — Rudolfa Elcho *Kinder des Lichtes* i *Goldene Schwingen*. — *Der neue Pharao* Fryderyka Spielhagena. — Kohnta *Fürst Bismarck und die Litteratur.*

Mnożą się oznaki, że pesymizm, który panował w filozofii niemieckiej ostatnich lat czterdziestu, ustąpi miejsca kierunkowi dodatniemu, dążącemu bądź do pojednania z obecnym porządkiem rzeczy, bądź do reform, podnoszących poziom szczęścia powszechnego. Świeżo pojawiły się dwa systemy etyczne, reprezentujące ten kierunek. Fryderyk Paulsen *) oparł swą etykę na faktach biologicznych i historycznych, wyprowadzając ją w zupełnej od metafizyki niezawisłości z rozwoju objawów. Przejrzysty układ dzieła ułatwia wielce rozpatrzenie się w niem. Oznaczywszy we wstępie istotę i zadanie etyki, kreśli autor w pierwszej księdze historyę poglądów na życie (etykę greków, chrześciaństwa i współczesne systemy etyczne), w drugiej mówi o pojęciach zasadniczych i głównych zagadnieniach (co jest dobrem, co złem, dobro najwyższe, pesymizm, obowiązek i sumienie, egoizm i altruizm, cnota i szczęście, moralność i religia, wolność woli). W trzeciej księdze umieścił naukę o cnotach i obowiązkach, w czwartej traktuje rodzinę i przyjaźń, życie ekonomiczne, społeczeństwo, własność, reformy, państwo i jego zadanie.

Według Paulsena, probierzów etycznych powinien nam dostarczyć świat rzeczywisty, nie zaś sam rozum. Dobrą jest czynność, mająca na celu dobro działającego ogółu, złą — szkodliwa dla działającego i dla ogółu. Celem życia społecznego to, co stanowi treść i rezultat historyi: rozszerzenie i pogłębienie tego życia, jego rozwój wszechstronny. Celem życia ludzkiego jest wszechstronny rozwój wrodzonych mu zdolności; stanowi on najwyższe jego dobro, najbardziej zarazem popiera dobro ogółu. Nie przelewa autor bynajmniej łez nad cierpieniami ludzkości. Twierdzi, że chrześciaństwu zawdzięczamy świadomość prawdy, iż cierpienie jest istotnym, niezbędnym składnikiem życia ludzkiego. Atoli służy on raczej do utrzymania życia, gdyż oznacza każdym razem niebezpieczeństwo grożące nam, którego staramy się uniknąć. Płytkie to prawdziwie zastosowanie faktów biologicznych do stosunków moralnych i ekonomicznych a tylko dobrze płatny profesor niemiecki tak może uzasadniać optymizm!

Paulsen sądzi, że owe sprzeczności głębokie, o jakich przed nim bajano, wogóle były przesadzone. Wola a obowiązek bynajmniej nie bywają tak niezgodne, jak np. poetom się wydaje. Profesor etyki musi rozumieć rzecz lepiej: według niego dobrem jest to właśnie, ku czemu zwraca się wola naturalna. Obowiązek nie jest czemś obcem, zewnętrznem. Nakazuje on żyć *sittlich*, tj. *gemäss der Sitte*. Obyczaje zaś powstały między ludźmi. Wyrobiły się one z instynktów zwierzęcych i reprezentują niejako rozum gatunku, są sposobami rozwiązywania zadań społecznych.

Równie krótko i łatwo rozwiązuje Paulsen sprzeczność między egoizmem a altruizmem. Sprzeczność ta wedle niego wogóle nie istnieje, gdyż w gruncie rzeczy ten tylko działa prawdziwie we własnym interesie, kto nie uchybia prawom drugiego.

Paulsen nazywa swą etykę biologiczno-teologiczną. Teologiczną z tego względu, iż wykazuje objektywne podstawy praw obyczajowych, iż ocenia czynności według skutków ich dla dobra ogółu. Zważywszy, że ludzkość się rozwija, filozofia moralna odmienną być musi dla czasów i ludów różnych; zadaniem jej jest oznaczenie ogólnych ram życia i postępowania, poręczającego zdrowy rozwój społeczeństwu nowoczesnemu.

Döring, znany z prac swych o estetyce Arystotelesa, opiera etykę na psychologii **). Była to najodpowiedniejsza droga do odparcia twierdzenia Schopenhauera, iż suma przykrości w każdym wypadku, a i w życiu całem większą być musi, aniżeli suma przyjemności. Schopenhauer przeczy, iżby istniało dodatnie dla człowieka dobro, wartość, którąby się opłacało zdobyć. Hartmann zredukował po części naukę tę, przypuszczając, że w niektórych wypadkach zachodzić może korzystniejszy dla człowieka stosunek przyjemności do przykrości. Döring zaś kusi się o wykazanie dóbr pozytywnych, na których opiera następnie pogląd eudemonistyczny. Zbudowawszy system etyki na psychologii, utożsamia przy końcu dzieła swego etykę z filozofią.

Ani książka Paulsena, ani dzieło Döringa nie mają cech prac epokowych. Nie stać na to autorów, aczkolwiek obaj zdradzają podobne pretensye. Cechują one tylko zwrot, o którym wspomnieliśmy na wstępie, a który w najnowszych czasach i u Hartmanna dostrzedz można. Z naciskiem twierdzi on w artykule „Mein Verhältniss zu Hegel,“ umieszczonym niedawno w *Zeitschrift für Philosophie*, że system jego o wiele więcej ma pokrewieństwa z Heglem, aniżeli z Schopenhauerem.

Autor, którego powieści stawiamy dziś na czele beletrystycznego naszego przeglądu, jest o wiele mniej znanym, aniżeli wielu od niego płytszych, o wiele głębszym i doskonalszym, aniżeli wielu autorów niemieckich, zaliczanych dziś do świeczników literatury. Powierzchownie jeno przejrzawszy utwory Rudolfa Elcho, jego „Nowele,“ „Dzieci światła“ i „Złote skrzydła,“ łatwo spostrzedz, że odznacza on się przedewszystkiem niepospolitym darem opisywania przyrody. Snać w różnych żył strefach, a wrażliwy umysł jego pochwycił charakterystyczny ton krajobrazów, które przed nim się roztaczały. Opisy jego nie są ani fantazyami mglistemi, ani suchem zestawieniem szeregu szczegółów, jakie nużą zwykle w dziełach naturalistów. Elcho opisuje wiosnę nad Renem, noc letnią u jeziora Herty z tą samą siłą konkretną, plastyczną, co i brzegi morza Śródziemnego lub ów straszliwy nocny wylew rzeki, którego przedstawieniem rozpoczyna się powieść „Dzieci światła.“

Uważnie przeczytawszy utwory tego pisarza, uczuwamy poważanie nietylko dla talentu, ale i dla etycznego jego kierunku. Rozporządzając biegłym zasobem doświadczeń i niezwykłą zręcznością w oddawaniu poczynionych spostrzeżeń, zajmuje się on losem gnębionych i wyzyskiwanych, losem wiedzy i postępu walczącego z obłudą świętoszków. „Dzieci światła“ — to gmina świętoszków, który uzyskawszy władzę w pewnem mieście fabrycznem, usuwają uczciwego, postępowego inżeniera z zajmowanej przezeń posady i powodują rozłączenie jego z kochanką. Atoli zbytnia pożądliwość obłudnych owych łotrów gubi ich wreszcie, a wiedza, czystość charakteru i miłość prawdziwa tryumfują. Postacie wprowadzone przez autora bynajmniej nie są szablonowemi. Obłudny ich patos wyborne pomieszany jest z komizmem mimowolnym. Niektóre współzawodniczyć mogą z postaciami Dickensa; przedewszystkiem van Menleu, pieczeniarz, pustoszący śpiżarnie braci i sióstr swych w Jezusie, dalej pastorowa z Heinsfeld, która nakłania bogatą wieśniaczkę, by przysłała jej gołębi i jarzyn. Jednak i dodatnie charaktery kreśli Elcho z prawdziwym talentem: sędziwy, poświęcający się proboszcz Pfeiffer, typ liberalnego duchownego, uprawiającego nauki przyrodzone obok teologii, i młoda córka jego, zajmująca się sztukami—odbijają od tła ciemnego.

W „Złotych skrzydłach“ piętnuje Elcho ntesumienny kapitalizm i w artystycznie ułożonej powieści przeprowadza myśl sprawiedliwości, wynagradzającej zasługę a karcącej winę. Kranlitz, niegdyś sam będący rzemieślnikiem, wzbogacił się nagle, a zwiększając ciągle majątek, zostaje właścicielem fabryki i kopalni, poślubia córkę szlacheckiego rodu i zostaje szlachcicem. Czując się wszechpotężnym, wyzyskuje robotników swych bez sumienia, narażając życie ich przez zaniedbywanie urządzeń

*) *System der Ethik*, Berlin, 1889.

**) *Philosophische Güterlehre*, Berlin, Gaertner.

ochronnych. Elcho opisuje kopalnie, jak Zola w *Germinalu*, okazuje nam t. zw. grotę w przędzalni, gdzie dzieci pracują w obłoku pary, wprowadza nas wreszcie do „piekła" fabryki cukrowej, gdzie kobiety na pół nagie suszą buraki w upale najstraszniejszym. Inspektora rządowego zaprasza Kranlitz na wspaniałe śniadanie, tak, iż odjeżdża on, nie zwiedziwszy zakładów; kierownika technicznego zaś, który za robotnikami się ujmuje, wyrzuca. Wreszcie despotyczny obłęd bogaczów dochodzi u niego do szczytu: wypędza z domu swego siostrzenicę biedną, która nie chciała poślubić zrujnowanego szlachcica; sam przekupiwszy wyborców, zostaje posłem i puszcza się w wir zabaw wielkomiejskich, zdradzając młodą i piękną żonę. Ale spotyka go kara. Parlament unieważnia jego wybór. Opuszczona kochanka, wdarłszy się nocą do sypialni jego, zabija się, Kranlitza zaś przerażenie paraliżuje. Zdradzona małżonka wraz z usłużnym doktorem fabrycznym przenoszą go do zakładu leczniczego. Wyzdrowiawszy, przekonywa się, że zamknięto go w prywatnym domu dla obłąkanych. Z całym realizmem opisuje teraz Elcho cierpienia Kranlitza w zakładzie przekupionego lekarza. Brutalności, jakiej często dopuszczał się względem robotników, doznaje teraz skrępowany bogacz na własnej osobie. Zanim w towarzystwie waryatów istotnie zmysły postradał, ucieka; ale w chwili, kiedy pragnie zemścić się na żonie, porażenie serca zabija rozwścieczonego.

Rozwiązania palących kwestyj, o których traktuje powieść, próbuje Elcho w utopii, urzeczywistnionej przez byłego kierownika technicznego fabryk Kranlitza w Ameryce.

Jeżeli w Rudolfie Elcho powitać wypada nowego a dzielnego przedstawiciela kierunku realistycznego literatury niemieckiej, to w świeżej powieści Fryderyka Spielhagena „Nowy Farao" idealizm poprzedniej generacyi zmartwychwstaje do świadomej, energicznej walki z nowym kierunkiem. „Nowy Farao" bardziej zajmuje jako zjawisko historyczno-literackie, aniżeli jako utwór powieściopisarski. Spielhagen, niegdyś król powieściopisarzy niemieckich, czuje się zaniedbanym, zapomnianym. Z północy, ze wschodu i zachodu wkracza do Niemiec prąd, wywołujący rewolucyę na polu sztuki i poezyi, młoda generacya, walcząca pod sztandarem Ibsena, Dostojewskiego i Zoli, obala tron jego. Ale król beletrystyki nie chce abdykować. Raz jeszcze powołuje on całą potęgę środków artystycznych, którymi rozporządza, i stacza walną bitwę z realizmem. Kto zwycięży? Odpowiedź na to daje powszechne prawo rozwoju, które i w literaturze nowe rodzi formy. Spielhagen ani o włos nie odstąpił od swej maniery, ani o włos nie zbliżył się do wymagań nowej szkoły. Autor bynajmniej nie interesuje się postaciami swego utworu, nie ich to charakterystyka zajmuje jego uwagę; myśl, idea — oto składnik główny utworu, do którego figury działające niejako tylko są przyczepione. Jaką jest myśl „Nowego Faraona"? Czytamy w drugiej księdze Mojżesza: „Nowy zapanował w Egipcie Farao, ten nie wiedział nic o Józefie." Józef — to dawny idealizm niemiecki, Farao zaś — to dzisiejszy duch realistyczno-materyalistyczny, panujący w Niemczech. Spielhagen nie przedstawia bynajmniej, w jaki sposób nowy prąd ten wyłonił się wśród niemców; istnienie jego przyjmuje jako fakt, wystawia szereg postaci reprezentujących go, do walki z nimi powołuje figury przedstawiające kierunek idealistyczny, nadaje starciu przebieg sprzyjający własnej jego tendencyi, tak, iż przy końcu — rzecz jasna — idea jego tryumfuje. W niektórych rozdziałach znajdujemy długie rozprawy o sztuce, poezyi i polityce, pisane pięknym językiem Spielhagena, w formie dyalogu, bynajmniej niepowiązane z akcyą. W pewnym salonie, dwóch obywateli amerykańskich broni idealizmu Schillerowskiego wobec młodego docenta, reprezentującego realizm nowoczesny. Dowiadujemy się z tej dyskusyi, że literatura niemiecka upada coraz bardziej, gdyż zarzuciła ową „wewnętrzność, która czerpie z dna serca" i ów „polot idealny, co wznosi się wysoko ponad pospolitą rzeczywistość." W utworach Ibsena zaś panuje „dawna nędza Ifflanda i Kotzebuego, wystrojona nieco pesymizmem Schopenhauerowskim."

Kto obeznany jest z literaturą beletrystyczną Niemiec z ostatnich dziesięcioleci, dla tego treść „Nowego Faraona" będzie dziwnie znaną, mimo niezwykłych rzeczy i figur, jakie w niej napotykamy. Powieść odgrywa się w r. 1878; młodzieży, z której rekrutowały się szeregi demokracyi socyalnej, przeciwstawia Spielhagen mężów 1848 r. Von Alden, bogaty właściciel dóbr, jeden z kierowników ruchu rewolucyjnego, zmuszony do emigracyi, majątek, żonę i córkę pozostawia opiece przyjaciela swego Iliciusa, który należy do najbrzydszych „materyalistów"; poślubia bowiem panią Alden i zagarnia majątek, przyczem dochodzi do rangi tajnego radcy, przyczyniając się do założenia *Kreuzzeitung*. Z poprzedniego małżeństwa miał syna; p. Alden zrodziła mu czworo dzieci, a nadto żyje jeszcze córka Aldena. Ten tymczasem, pomny zadań czekających go jeszcze jako porządnej figury powieściowej, bynajmniej nie umiera w Ameryce, owszem, wraca do Berlina jako Mr. Smith. On to jest dawnym idealizmem niemieckim, który z bólem serca widzi, że w Niemczech zapanował nowy Farao.

Nici akcyi schodzą się w domu na ulicy Bellevue, zamieszkiwanym przez bogacza amerykańskiego Curtisa. Jest to najczarniejszy łotr pod słońcem, mający idealnego syna, cierpiącego na idealne suchoty i idealną nieszczęśliwą miłość, oraz ekscentryczną, szlachetną córkę, która zakochuje się w nikczemnym synie nikczemnego Iliciusa. Niema ludzkiej mieszaniny cech w postaciach Spielhagena: kto nie jest idealnym, czystym Józefem, ten jest najpodlejszym sługą nowego Faraona, rozbójnikiem, poświęcającym honor i życie ludzkie dla powodzenia. Nie długo też stary Alden pozostaje w tej atmosferze. Po śmierci Iliciusa, który umiera na porażenie serca, wraca on wraz z córką swą do Ameryki, „gdzie nowe pokolenie pragnie żyć własnem życiem, nieskrępowane niewygodnemi tradycyami przeszłości." „Atoli przyjdzie Mojżesz, co ludowi błąkającemu się po pustyni materyalizmu i bałwochwalczego hołdowania powodzeniu, wskaże drogę do krainy przyobiecanej."

Myśl przewodnia „Nowego Faraona" przypomina Turgeniewa „Ojców i synów." Kto pragnie poznać cały odstęp, dzielący poetę ruskiego od niemieckiego, niech po przejrzeniu „Ojców i synów" przeczyta „Nowego Faraona."

Prawdziwie, nie nasza w tem wina, jeżeli tak mało dla niemców czuć możemy sympatyi. Ze zdumieniem i niesmakiem czyta się „studyum polityczno-literackie" Adolfa Kohuta, przedstawiające stosunek Bismarka do literatury. Kohut, któremu wzbroniono pobytu w Berlinie, stara się udobruchać pana Herrfurtha, ogłaszając raz po raz lojalne książki („Złote słowa cesarza Wilhelma" itp.). Zestawia on w „Studyum" swem ustępy z mów i listów kanclerza, odnoszących się do literatury. Istotnie, Bismark wspomniał kilkakrotnie o Goethem, Shakespearze, Févalu — ale o nikim tak pochlebnie się nie wyraża, jak o Juliuszu Stindem, autorze *Rodziny Buchholzów*, nad którą formalnie się unosi. Poważne pisma literackie ze zdziwieniem przyjęły swego czasu ten wylew literackiego smaku kanclerza. Nam przypomina się znane słowo Beaconsfielda o Bismarku: „Nie widziałem nigdy człowieka o podobnym geniuszu, a zarazem o tak małem wykształceniu ogólnem."

Ładawa.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Przestroga dla przyszłych wydawców pism poczytnych. — Rozkoszowanie się nędzy widokiem najbogatszych. — Towarzystwo łowieckie. — Hr. Stadnicki. — Stałość kolei Nadwiślańskiej. — Małżeństwo morganatyczne na W. Wiedeńskiej. — Bazary uczoności i zniżone koszta cytat. — Czego dostać można. — Drogie korzystanie ze sposobności. — Psalm rozpaczy. — Konsylium nad głodną większą własnością ziemską.

Jeżeli ktokolwiek z was czytelnicy myśli o założeniu kiedyś w Warszawie dziennika bardzo poczytnego, radzę mu wyryć to sobie w pamięci, ażeby jak najczęściej pisał o teatrze, księżach, arystokracyi, balach i kłopotach milionerów, niewiedzących, co robić z pieniędzmi. W pewnych, niezbyt długich odstępach czasu powinien zamieszczać spis najbogatszych ludzi w świecie z podaniem możliwie najwyższych cyfr ich majątku i dochodów. Ażeby zaś wykazy te, często powtarzane, nie były nudne, należy je troszeczkę zmieniać. I tak w jednym niech najbogatszym człowiekiem na ziemi będzie Gould, w drugim Vanderbildt; w jednym — niech Gould posiada 1,500 milionów dolarów, w drugim — 1,200 lub 1,600 (zmiany te można wytłomaczyć zdobyciem dokładniejszych wiadomości). Pożądanem jest również zaznaczyć, że pani Makay sprawiła sobie suknię z gardziołków kolibrowych, którą po jednokrotnem użyciu darowała swej pannie służącej, że dla pani Vanderbildt mąż kazał cały ocean Atlantycki polać olejem, ażeby żona jego w podróży do Europy mogła przejechać bez kołysania się wzburzonych fal — itp. W ostatnich dziesiątkach lat XVIII w. prababki nasze najzawzięciej tańczyły, podczas grasowania cholery najgwałtowniej zawsze wybuchała szalona wesołość, czemuż dla nędzy nie miałby być przyjemnym widok zbytku?

Ale ostatecznie codzienne czytanie o milionerach amerykańskich może znudzić. Wdzięczni też jesteśmy niezmiernie Towarzystwu Łowieckiemu i konkursom strzelniczym, że nam urozmaiciły jednostajność wrażeń. Do Towarzystwa, któremu przewodniczy gen. Sidorow, a które jest oddziałem ogólno-ruskiego z siedzibą w Petersburgu, zapisało się około 700 członków najrozmaitszego rodzaju. Prasę reprezentują pp. Czapelski i Lesznowski. Na pierwszem zebraniu, po uwadze pułkownika Małychina, że niektórzy członkowie już zaczęli przekraczać przepisy o polowaniu, postawiono kwestyę: czy instytucya ma zajmować się wyłącznie myśliwstwem, czy też prowadzić jednocześnie życie klubowe. Znaczną większością głosów oświadczono się za tem ostatniem pojęciem jej zadania. A więc oddział warszawski Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Polowania będzie klubem, w którym już nietylko przez wyprawy łowieckie, ale przez życie towarzyskie połączą się skupione w niem żywioły. Jest to pierwsza taka spójnia.

* * *

W Kijowie sądzony był za kradzież hr. Stadnicki. Bawił on się wesoło z gronem przyjaciół, a między nimi z niejakim Pietkiewiczem, którego okradziono. Miał jego dokonać cyrkowiec Bejtel, który uciekł, ale część pieniędzy znaleziono u hr. Stadnickiego, który tłomaczył się, że złodziej mu

je do kieszeni wsunął. Przysięgli uwierzyli temu i uniewinnili oskarżonego. Najciekawszym wszakże szczegółem tej sprawy jest — według korespondenta *Kuryera warsz.* — wyśmienity humor hrabiego, który „wysłuchał wyroku równie obojętnie i z uśmiechem, jak i najcięższych przeciw niemu zarzutów prokuratora.“ Trudno zaprzeczyć, że i w arystokracyi odbywa się przemiana gatunku.

Nie można tego powiedzieć o kolei Nadwiślańskiej, która jak stanęła na gruncie oszczędności, tak stoi niewzruszenie, a jeśli nawet czasem pochyli się, to szybko odzyskuje pierwotną postawę. Prasując swoich pracowników rozmaitemi żelazkami, zabroniła służbie drogowej obsiewać gruntów zapasowych przy torze. Na wiosnę r. b. zakaz ten został zniesiony a dróżnicy obsieli swoje zagony. Gdy zboże podrosło, wyszedł znowu rozkaz, ażeby je natychmiast skosić. Nastąpiło to wtedy, kiedy p. Halpert wszedł ponownie w znak prezesa Rady zarządzającej a p. Piltz ukazał się koło niego jako jeden z księżyców. Nie posądzamy p. Piltza o wpływ na to rozporządzenie, bo go nie posądzamy o żaden; ale zaznaczamy dowód, przekonywający, do jakiego to ciała przyczepił się w ogonie redaktor pisma, którego obowiązkiem powinno być karcenie wszelkich a więc i kolejowych nadużyć. Na usprawiedliwienie swe wszakże ma p. Piltz jeden argument, którego nie powinniśmy zataić, mianowicie może on powiedzieć: gdyby *Kraj* nawet milczał o gospodarce drogi Nadwiślańskiej, nie zgrzeszy bardziej, niż znaczna większość pism warszawskich, które również milczą lub widzą w różowym świetle działalność wszystkich kolei żelaznych z wyjątkiem Nadwiślańskiej, bo ta im nie daje biletów wolnej jazdy. Podobno nawet jeden z jej dygnitarzów miał powiedzieć do kogoś:

— Ech, panie, mamy środek na to, ażeby nas przemalowano z dyablów na aniołów, tylko go użyć nie chcemy, bo o to nie dbamy.

Szanowni stróże opinii publicznej, odeślijcie bilety wolnej jazdy i zacznijcie bez nich pisać o sprawach kolejowych.

Jeżeli ktoś, nie wierząc mojej przepowiedni, miał ciężar na piersi z zatargu pomiędzy tutejszymi a zagranicznymi akcyonaryuszami kolei Warszawsko - Wiedeńskiej, to niechże go zrzuci, bo wróżba moja sprawdziła się — pogodzili się. *Berl. Börs. Courier* obwieścił światu tę radosną nowinę w następujących słowach. „Słuszność naszego poglądu, że ukonstytuowanie się w Warszawie Rady zarządzającej należy pojmować jako zawarcie układu pomiędzy belgijskimi i miejscowymi głównymi posiadaczami akcyj, została potwierdzoną z Brukselli, podczas gdy z Warszawy *brak dalszych wiadomości* w tym względzie.“ Dlaczego brak tych wiadomości z Warszawy, a nie z Brukselli, odgadnąć łatwo. Po tem wszystkiem, cośmy nagadali i napisali o Lysenie, o „bandzie rabusiów i spekulantów,“ o „słomie“ i „przedpokoju,“ o zagrożonym Kapitolu — po prostu nie wypada przyznać się publicznie do zgody i przyjaźni z „opryszkami.“ Lepiej zawrzeć ślub morganatyczny, z którego i przyjemność będzie, i dzieci się urodzą, a pozór rozdziału zostanie. Potem, kiedy wspomnienia się zatrą, będzie można uprawnić jawnie ten związek, o którym dziś niech wiedzą tylko przyjaciele. Tak czynić zwykły dostojne osoby, tak też uczynili nasi akcyonaryusze kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. Oto, dlaczego w parafii naszej zapowiedzi o tym ślubie nie wyszły, tylko w brukselskiej.

Niewdzięcznym będzie każdy, kto w naszych czasach opuści ziemię ze złorzeczeniem. Jak wiadomo, hasłem naszego wieku jest nie tyle wynajdywanie rzeczy nowych, ile uprzystępnianie dawnych. Jeżeli odkryjesz nieznany metal o najcudowniejszych własnościach, którego kilogram jednakże będzie kosztował 5,000 rs., donieś akademiom naukowym i poprzestań na ich uznaniu, bo do niczego więcej nie masz prawa. Ale jeżeli obmyślisz sposób tak taniego otrzymania glinu, że można będzie zeń robić sztachety i pługi, wystaw swój pomysł na licytacyę, a stanie do niej cały świat i zacznie dla ciebie sypać góry złota. Podobnie w innych dziedzinach. Nowych myśli i natchnień ludzie nie szukają, ale starają się uprzystępnić stare. Do jakiego stopnia zniżono tu „koszta produkcyi,“ przekonywają wyrastające szybko naukowe biura informacyjne. Ma je już podobno Anglia, a teraz zaczęły powstawać w kraju najodpowiedniejszym dla tego rodzaju przedsięwzięć — Niemczech. Przypuśćmy tedy, że ci przyszła chęć napisania jakiejś uczonej rozprawy lub dzieła w pewnym przedmiocie. Dawniej musiałeś rozpocząć odpowiednie badania, przeczytać masę książek, wpakować sobie w głowę kilka szaf biblioteki. Teraz wszystko to jest niepotrzebnem. Posyłasz tylko do biura informacyjnego obstalunek z żądaniem — wedle potrzeby — albo wskazania tytułów książek traktujących — na przykład — o gęsi lub ideale sztuki, albo nawet wypisania wszystkich ważniejszych cytat z literatury powszechnej dotyczących gęsi lub ideału w sztuce— i za oznaczoną sumę masz gotowy materyał, erudycyę, która ci natychmiast wyjedna tytuł znakomitego uczonego. Jak się nazywają te *businessy* i *Geschäfty* gdzie indziej—nie wiem, ale świeżo założony w Berlinie, który mi przysłał swój prospekt, nosi skromne miano „Bibliographisches Institut.“ Geniuszu, talentu, oryginalnych myśli dostać tam nie można, ale cytat, o które wielu ludziom tak chodzi, ile dusza zapragnie. Do zdania: „Wlazł kotek na płotek i mruga“ — Instytut dostarczy najszczegółowszych przytoczeń, co kto kiedykolwiek powiedział o kotku, jakie są w rozmaitych krajach płotki i jakie sposoby mrugania. Gdyby żył Schopenhauer, który radził tylko wtedy czytać, kiedy wyschnie potok własnej myśli, oburzyłby się podwójnie na ten bazar sprzedawanej uczoności, ale jemu ten potok myśli nie wysychał, a nie każdy ma go w sobie. Dla głów przeto, nawiedzonych stałą suszą, taka pompa będzie prawdziwem dobrodziejstwem.

„Przewodniczący w zarządzie Towarzystwa osad rolnych—donosi *Kuryer warsz.*— p. Miklaszewski wyjechał do wód zagranicznych. *Korzystając z tego*, komitet Towarzystwa zobowiązał p. Miklaszewskiego, ażeby zechciał zwiedzić tego rodzaju zakłady za granicą, i udzielił mu na ten cel rs. *tysiąc*.“ Szkoda wielka, że zarząd Towarzystwa nie wiedział o istnieniu owych biur informacyjnych, bo nabyłby tę samą mądrość za kilkadziesiąt marek. Przy dawnym sposobie wypadła ona za drogo, zważywszy, że Osady rolne nie mają pieniędzy w nadmiarze i że tylko skorzystano ze sposobności, gdyż p. Miklaszewski wyjechał do wód i umyślnej podróży dla zwiedzania zakładów poprawczych przedsiębrać nie potrzebował. Tak poważny wydatek może bardzo źle oddziałać na gotowość członków Towarzystwa do opłacania składek, zwłaszcza że ona i tak jest bardzo słabą.

Strapienia szlacheckie, albo — ściślej mówiąc — strapienia większej własności ziemskiej odbijają się natychmiastowem i głośnem echem w naszej prasie. Nic też dziwnego, że psalm rozpaczy, wydrukowany w *Wieku*, powtórzyły wszystkie prawie pisma, skropiwszy go łzami współczucia. A kolumnach tej gazety zebrał się cały sejmik. Ci chcą od Towarzystwa darowania jednej raty, tamci rozłożenia trzech; ci radzą kalikować miechami dzienników, tamci — zagrać na organach Towarzystwa; ci mają otuchę, tamci toną w zwątpieniu. Na szczęście trysnął promyk nadziei. Jak donosi *Wiek*, Dyrekcya Szczegółowa siedlecka wystąpiła do Głównej z wnioskiem rozłożenia trzech kolejnych rat na dwadzieścia półroczy. O ile z oderwanych, nieujętych w żadne cyfry wiadomości sądzić można, nieurodzaj tegoroczny jest faktem, gospodarstwa rolne rzeczywiście przygniecione będą klęską godną ratunku. Ale i to nie ulega wątpliwości, że klęska owa nie jest ani powszechną, ani równomierną, wobec zaś braku dokładnych danych Dyrekcya Główna Towarzystwa znajdzie się w poważnym kłopocie przy rozstrzygnięciu tej sprawy. Zasady ogólnej — ze względu na znaczne różnice w plonach wielu okolic, a nawet folwarków — postawić niepodobna, a na czem oprzeć krytykę każdego pojedynczego wypadku? Nie dajemy rady, która byłaby tylko frazesem, ale wskazujemy trudności w niesieniu pomocy.

A o chłopach nie pomyślano czasem? — pytacie. Nie. Ponieważ milczą, więc im nie nie dolega. Zresztą — jak zauważyłem poprzednio — oni potrafią przeżyć zimę — głodem.

Poseł Prawdy.

PRASA RUSKA.

Obezrobociu w Dąbrowie pisze *Warsz. Dniewnik*:

„Pogłoski o bezrobociu robotników górniczych w Dąbrowie, w powiecie będzińskim, gub. piotrkowskiej, na nieszczęście sprawdziły się; okazuje się jednak, że dzięki środkom przedsięwziętym, we właściwym czasie przez miejscową administracyę powiatową i gubernialną, zamieszki te nie przekroczyły pierwotnych swoich granic a następnie niebawem pomyślnie się ukończyły. Od zeszłej środy, 3 lipca, robotnicy, którzy przerwali roboty, wszyscy znowu spokojnie powrócili do swoich zajęć. Według zebranych przez nas dokładnych informacyj, bezrobocie to, trwające po wykluczeniu przypadających w zeszłym tygodniu dwóch świąt 29 czerwca (św. Piotra i Pawła według nowego kalendarza katolickiego) i 30 czerwca (niedziela) pięć dni, miało następny przebieg: W dniu 25 czerwca robotnicy w kopalniach węgla kamiennego „Koszelew“ i „Paryż,“ należących do Towarzystwa franko-włoskiego, w liczbie około 2,800 ludzi, zażądali od administracyi kopalni podwyższenia wynagrodzenia od roboty na wymiar i zgodzenia się na wychodzenie z szacht na obiad, a otrzymawszy odmowną odpowiedź, zawiesili roboty. Przywódcami, jak się okazało, byli robotnicy z kopalni „Koszelew.“ Tegoż dnia przybył na miejsce naczelnik powiatu będzińskiego, a robotnicy przyrzekli mu wziąć się do roboty nazajutrz, ale nie dotrzymali słowa. Wówczas władza kazała pozamykać na czas trwania bezrobocia wszystkie szynki w Dąbrowie i w okolicznych wioskach, a na wypadek potrzeby, zawezwać z najbliższych miejsc konsystencyi trzy secinу kozaków. Kozacy przybyli do Dąbrowy 28 czerwca, ale bezrobocie trwało dalej, bez żadnych zresztą nieporządków lub gwałtów ze strony robotników. W d. 2 b. m., przyjechał do Dąbrowy p. o. gubernatora piotrkowskiego, p. Podgorodnikow. Po objaśnieniach i przełożeniach naczelnika gubernii, robotnicy postanowili zakończyć bezrobocie. W kopalni „Paryż“ roboty rozpoczęły się nanowo tegoż dnia, a w kopalni „Koszelew“ nazajutrz. Surowsze środki ograniczyły się na areszcie i oddaniu pod śledztwo 16 robotników, którzy nie pozwalali pracować towarzyszom, nieuczestniczącym w bezrobociu. Pierwotne przypuszczenia, jakoby dąbrowskie bezrobocie było poniekąd echem niedawnych zmów niemieckich, z powodu sąsiedztwa powiatu będzińskiegó z pruskim Szląkiem, gdzie ogromne wzburzenie robotników dotąd jeszcze nie zupełnie się uspokoiło, okazuje się widocznie bezzasadnem, faktycznie przynajmniej dotychczas nic go nie potwierdza. Robotników-cudzoziemców w kopalniach w Dąbrowie jest niewiele, a ci, według objaśnień administracyi kopalń, uczestniczyli tylko w mowie, ulegając wymaganiom miejscowych. Dowiedzieliśmy się z wiarogodnego źródła, że admini-

stracya gubernialnia uważa za konieczne zbadać warunki roboty i wyświetlić kwestyę wynagrodzeń od roboty na wymiar we wszystkich kopalniach powiatu będzińskiego, ponieważ według jej zdania, praca robotnika w kopalniach Towarzystwa franko-włoskiego jest w samej rzeczy cięższą, niż w innych kopalniach. Dla wyjaśnienia i bezstronnego roztrząśnięcia pretensyj, o jakich robotnicy z Dąbrowy mówili władzy, jest to niezawodnie najpewniejsza i najniezawodniejsza droga."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Banki. Bankowi państwa, zgodnie z jego ustawą, wolno jest wydawać na zastaw towarów, stanowiących ważniejsze artykuły przywozu i wywozu, udzielać pożyczki od 50 do 60% wartości owych towarów na termin od jednego do sześciu miesięcy. Takie samo prawo uzyskały niektóre instytucye finansowe prywatne; ustawa wszakże, pozwalając na przyjmowanie towarów w zastaw, nie pozostawiła owym instytucyom prawa zastawu tych towarów na ryzyko własne w innych instytucyach kredytowych. W sprawie uzyskania takiego zezwolenia zwróciły się do p. ministra niektóre banki handlowe i Towarzystwa wzajemnego kredytu z prośbą, aby im wolno było prowadzić operacye tego rodzaju, tj. żeby mogły zastawione w nich zboże i wełnę zastawiać ze swej strony w Banku państwa, co mogłoby okazać rzeczywistą korzyść gospodarstwu wiejskiemu, gdyż dałoby możność wytwórcy doczekania się cen lepszych. Minister skarbu prośbę przyjął przychylnie, Rada państwa zaś w myśl powyższego postanowiła: 1) pozostawić p. ministrowi skarbu prawo dopełnienia ustawy banków handlowych w sprawie powtórnego zastawu złożonych u nich towarów, za zgodą ich właścicieli; 2) że ów powtórny zastaw towarów w instytucyach kredytowych ma się uskuteczniać za pośrednictwem adnotacyi na świadectwach zastawowych, wydanych pierwotnie i 3) że instytucye, powtórnie zastawiające towar, pod względem zwrotu pożyczki przyjmują na siebie całkowitą odpowiedzialność.

— *Dień* donosi, iż ma być otwarty bank akcyjny dla dawania kredytu krótkoterminowego drobnym rzemieślnikom.

— Bank kaspijski otwarto w Moskwie z kapitałem 5 milionów rs.

— Oddział lubelski Banku włościańskiego przyjmuje oferty na sprzedaż gruntu z pomocą Banku.

Nowa agencya telegraficzna tworzy się w Petersburgu. Inicyatorowie obowiązują się trzymać własnych korespondentów we wszystkich krajach słowiańskich i państwach zagranicznych. W razie nieporozumień z któremkolwiek państwem, agencya ma otrzymywać depesze o wypadkach przez Szwajcarye.]

Koleje. Poruszono ponownie projekt przedłużenia kolei Nadwiślańskiej do Lublina przez Zamość lub z Chełma na Hrubieszów do granicy austryackiej.

Podatek. *Graždanin* donosi, iż istnieje projekt nietylko opodatkowania surowej nafty, lecz także naznaczenia akcyzy w stopniu zmniejszonym od nafty wywożonej za granicę.

Nowe prawo, tyczące się zakładów naukowych prywatnych w guberniach północno-zachodnich, zatwierdzono obecnie. Według tych przepisów wszyscy przełożeni zakładów prywatnych obowiązani są natychmiast przystąpić do stopniowego zaprowadzenia wykładów w języku państwowym.

Próby. W ciągu roku bieżącego po raz pierwszy będzie robiona próba w guberniach południowo-zachodnich nawożenia pól odpadkami naftowymi dla wyniszczenia pasorzytów znajdujących się w roli.

Archiwum historyczne. Ministeryum oświaty oprasowało ustawę archiwum historycznego, urządzonego w Odesie dla gubernij południowych. Gromadzić ono będzie dokumenty, dotyczące historyi prowincyj tamtejszych.

Rolnictwo. Na zjeździe mającym się zająć kwestyą wykształcenia zawodowego, ze szczególnym naciskiem będzie poruszona sprawa szkół rolniczych wyższych i niższych. Jednocześnie członkowie zjazdu zajmą się wyjaśnieniem kwestyi: jak najskuteczniej można poprzeć rolnictwo włościańskie; czy drogą otwierania specyalnych szkół niższych, czy też za pomocą reform ludowych.

— Wydział rolniczy w uniwersytecie krakowskim otwarty będzie prawdopodobnie już z d. 1 października r. b. Dla przyspieszenia tej sprawy obywatel tamtejszy, p. Ignacy Żółtowski, ofiarował dla rzeczonego wydziału 2,000 złr. z warunkiem, że do korzystania z wykładów rolnictwa przypuszczani będą również kandydaci na nauczycieli szkół ludowych tamtejszego internatu nauczycielskiego. Myśl tę poparł przychylnie senat akademicki.

Katastrofy. Straszliwy orkan zniszczył w Princetown (Ohio) 30 domów i zabił przeszło 50 osób.

— Pociąg osobowy, idący z Bukaresztu, wskutek złego nastawienia wekslu, spotkał się pod Ciulnizą z towarowym. Obie lokomotywy zupełnie się zdruzgotały. Pierwszy wagon z brankardem został zmiażdżony. Piętnastu podróżnych bądź śmierć poniosło, bądź bardzo ciężkie obrażenia. Palacz pociągu osobowego wpadł do pieca i spalił się.

— Pociąg, idący z Frankfurtu do Monachium, wykolejił się skutkiem złego nastawienia zwrotnicy. Dziewięć osób poniosło śmierć na miejscu. Wiele osób otrzymało pokaleczenia śmiertelne.

Zboże. Departament podatków stałych z rozporządzenia ministra skarbu rozesłał do komitetów giełdowych w miastach portowych referat o wadze zbożowej. Jednocześnie podniesiono sprawę przyjęcia w całem państwie jednorodnego systemu obliczania ilości zboża.

Opieka nad biednymi po wsiach ma być zorganizowaną.

Telefony. W dobrach majoratu Lublin (w Lubelskiem) z adwinistracyą w Zembrzycach są obecnie zaprowadzone pomiędzy kilku folwarkami telefony w celach gospodarczych na przestrzeni czterdziestu wiorst.

Żydzi. Ograniczenie procentowe liczby adwokatów przysięgłych i ich pomocników żydów będzie wkrótce przedmiotem rozpraw w ministeryum sprawiedliwości.

— Senat wyjaśnił, że żydzi kształcący się praktycznie w farmacyi, mogą jako uczniowie aptekarscy mieszkać w Petersburgu.

W Sebastopolu będzie zbudowany nowy port handlowy, gdyż dotychczasowy w r. 1893 będzie zajęty na port wojenny.

Szkoła handlowa w Warszawie z początkiem przyszłego roku szkolnego będzie miała kurs czteroletni zamiast trzyletniego. Otwarte będą także dwie klasy przygotowawcze.

Telegrafistki. Zabroniono przyjmowania kobiet do biur telegrafu przy kolejach, nawet w charakterze praktykantek.

Huta Królewska, kopalnia rządowa, otrzymała od ministra rozkaz skrócenia pracy górniczej do 11 godzin na dobę.

Szkoła techniczna. P. Kossut złożył Towarzystwu popierania przemysłu i handlu projekt szkoły technicznej z kursem czteroletnim dla kształcenia pomocników inżenierów i konduktorów technicznych.

Zakaz. Biskup marsylski, Robert, w liście pasterskim zakazał wiernym zwiedzania wystawy paryskiej, ponieważ podnieca ona tylko zmysły, a gubi duszę.

Zakłady kumysowe handlowe, oraz istniejące przy zakładach leczniczych, podlegać będą kontroli urzędów lekarskich.

Fabrykę fujarek kilku górali galicyjskich otwiera w Warszawie, celem uniknięcia opłaty wysokiego cła za przewóz przez granicę.

Zmarli. Karol Grant, poeta i pisarz angielski w Gratzu. Liczył lat 47.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Ad. Bołd. w Wołkowysku. Kazimierz Łyszczyński ma z Jordanem Brunem tylko wspólny mianownik męczeństwa; jako myśliciel zaś nie odznaczył się niczem. Stawianie mu więc pomnika — pomijając inne przeszkody — nie byłoby uczczeniem jego zasług, niezależnych od spóźnionego protestu przeciw okrucieństwu sądów jezuickich.

Panu Or. w Petersburgu. Kosztuje rs. 5.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Іюля 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.